

W numerze: JERZY WILMAŃSKI *Jacy jesteśmy?* • TERESA WOJCIECHOWSKA *Od Operetki do Teatru Muzycznego* • *Narzędzie walki dziełem sztuki*—rozmowa z prof. dr. Andrzejem Nadolskim • Konkurs „Wszystko o książce” • *Zewsząd o wszystkim* • *Nowela*

odgłosy



22 (758)
28. V. 1972 r.
Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XV



Fot. W. Parys

KONRAD FREJDLICH

RZECZPOSPOLITA POETYCKA

Po raz siódmy już, jakby to określił Tuwim, Łódź przechodzi pod dyktando poetarriatu. Mówienie więc o tym, że Ogólnopolskie Festiwale Poezji wrosły w kulturalny pejzaż miasta, że stały się jego tradycją, przypomina nieco wyważanie dawno otwartych drzwi.

Co prawda odrzwa te mocno się swego czasu opierały naciskowi łódzkiego środowiska literackiego, któremu się taki doroczny zjazd poetów zamarzył w mieście włókna. Wreszcie znalazły się środki i... drzwi puściły, z hukiem, rzecz można, i trzaskiem. Ogólnopolski Festiwal Poezji jest dziś bowiem bezsprzecznie najliczniej reprezentowaną przez wierszopisarzy i krytyków instytucją tego typu w skali krajowej. A zarazem najbardziej reprezentatywną ze względu na swój zasięg i rangę.

W tym roku również, mówiąc językiem sportowym, obsada Ogólnopolskiego Festiwalu Poezji przedstawia się mocno. Dość stwierdzić, że weźmie w nim udział blisko 150 autorów z całej Polski. Liczba ta nie oddaje zresztą dynamiki ruchu poetyckiego w naszym kraju, gdyż twórców in spe, jak twierdzą dobrze wtajemniczeni, mamy blisko sto tysięcy. Refleksem tej potężnej armii wieszczów jest ilość wierszy nadesłanych na konkursy. Oto do konkursu na nie publikowany wiersz dla autorów po debiucie książkowym zgłoszono blisko 500 utworów; w bliźniaczym konkursie dla autorów nie posiadających jeszcze tomu jury zapoznać się musi z blisko 2.500 utworami. Ale niech się tym kłopotem bogactwa zamartwia sąd konkursowy, do którego weszli: Zbigniew Bieńkowski, Jan Błoński, Wojciech Boczkowski, Jan Czarny, Krzysztof Gąsiorowski, Zbigniew Herbert, Andrzej Lam, Ryszard Matuszewski, Bogdan Ostromecki, Stefania Skwarczyńska, Michał Sprusiński, Jacek Trznadel i Marek Wawrzkiwicz.

Dalszy ciąg na str. 3

KAZIMIERZ KUŻBA

INFORMATYKA W BIURACH PROJEKTOWYCH

Wśród zagadnień dotyczących wprowadzenia informatyki na usługi gospodarki narodowej, szczególną pozycję zajmuje problem automatyzacji biur projektowych. U jej podstaw znajduje się wszechstronne zastosowanie nowoczesnych metod matematycznych do projektowania, opartych — przede wszystkim — na wprowadzeniu technik komputerowych, zarówno do samego procesu projektowania, analiz ekonomicznych projektów, jak i zarządzania i kierowania biurami projektów.

Efektywne wdrożenie komputerów do praktycznej działalności biur projektowych (proces projektowania, analizy ekonomiczne, zarządzanie i kierowanie) nazwiemy komputeryzacją tych instytucji.

Komputeryzacja, w sensie wyżej podanym, stanowi bardzo istotny fragment procesu automatyzacji biur projektowych. Ze względu na znaczenie tej problematyki dla go-

spodarki narodowej, a szczególnie dla działalności inwestycyjnej resortów (budownictwo, przemysł: ciężki i maszynowy, górnictwo itd.), pragnę zwrócić uwagę na rolę oraz znaczenie, jakie posiada w procesie realizacji inwestycji działalność merytoryczna biur projektowych. Analizę prakseologiczną tematu opieram na charakterystyce czynników, uzasadniających wprowadzenie informatyki do biur proje-

ktowych, jako elementów decydujących o ich efektach praktycznych. Tworzą je: konieczność, wynikająca nie tylko z dynamiki rozwoju nowoczesnych metod projektowania i środków technicznych, jakimi dysponują projektanci w przodujących krajach Europy, ale również, a może przede wszystkim, z naszej wewnętrznej sytuacji gospodarczej, wymagającej mobilizacji intelektualnej projektantów, możliwości, jakie stwarza państwo w tej dziedzinie oraz konsekwencji ekonomicznych, które pojawiają się w rezultacie skomputeryzowania biur projektowych.

Konieczność komputeryzacji biur projektowych wynika z dynamicznego rozwoju metod matematyki stosowanej (badania operacyjne) oraz środków technicznych, które

Dalszy ciąg na str. 3



Zewsząd o wszystkim

Po zwrocie Okinawy

„NEW YORK TIMES” — NOWY JORK

BATALIA O RATYFIKACJĘ UKŁADÓW MOSKIEWSKIEGO I WARSZAWSKIEGO ZNAŁAZŁA SWÓJ FINAL. Bundestag — przy wstrzymaniu się od głosu większości deputowanych opozycji, która nie odważyła się wypowiedzieć przeciwko — przyjął układy, a następnie zatwierdził je Bundesrat. Prawda, że przebieg procedury ratyfikacyjnej, może skłonić do refleksji, nieczym to jednak nie pomniejsza faktu ratyfikacji. UKŁADY BOWIEM WEJDA W ŻYCIE.

Tak więc kraje socjalistyczne, dążące do normalizacji stosunków z NRF na jedynie możliwej płaszczyźnie uznania realiów europejskich, a wśród nich granicy na Odrze i Nysie, odniosły historyczny sukces. Polityka współistnienia i tworzenia zrebów europejskiego bezpieczeństwa dała owoce. Największa z przeszkód do konferencji na temat bezpieczeństwa i współpracy została usunięta. Wejście w życie układów stanowić będzie o odprężeniu w Europie, potwierdzeniu jej dzisiejszego kształtu, wyrzeczeniu się stosowania siły lub postępowania w polityce groźbą jej użycia. Układy, wychodzące z faktu istnienia dwóch państw niemieckich, torują także drogę realizacji porozumienia berlińskiego, w którym Berlin Zachodni uznany jest za odrębny organizm polityczny.

Ratyfikacja układów zapoczątkuje proces normalizacji stosunków z NRF, w toku którego z pewnością pojawi się niejedna trudność. Wychodząc jednak z litery i ducha układów, przeszkody te będzie można przezwyciężać.

Dla nas — Polaków — możliwości normalizacji stosunków wynikają przede wszystkim z artykułu 1 układu między Polską a NRF, który potwierdza zachodnią granicę Polski, jej nienaruszalność teraz i w przyszłości oraz zobowiązuje obie strony do wyrzeczenia się jakichkolwiek roszczeń terytorialnych. Zawsze podkreślaliśmy, że tylko na tej podstawie możliwe jest podjęcie kroków normalizacyjnych, zapoczątkowanie odprężenia w dwustronnych stosunkach.

Układ z NRF, któremu obustronna ratyfikacja nada wiążącą moc, odnosi się równocześnie do przeszłości i przyszłości. Do przeszłości dlatego, że stanowi ważny akt polityczny, akceptujący przez NRF rezultaty II wojny światowej, do przyszłości natomiast, ponieważ otwiera proces normowania stosunków, ich treści i charakteru.

Tak więc po rozstrzygnięciu przed z górą 20 laty naszych stosunków z NRF — pierwszym w dziejach demokratycznym państwem niemieckim, teraz otwiera się szansa współdziałania w dziedzinie zapewnienia pokoju w Europie także z drugim. W tysiącletniej historii stosunków polsko-niemieckich szansa to wyjątkowa. Czy i jak zostanie ona wykorzystana dla tego wzniosłego celu — zależy będzie od NRF. My bowiem wielokrotnie okazaliśmy dobrą wolę — także wówczas, gdy nie zapominając ani na chwilę o bolesnych doświadczeniach II wojny światowej, podjęliśmy rokowania, torując drogę układowi. Jego znaczenie polega na tym, że ostatecznie zamyka problem prawnom międzynarodowego uznania granicy, o rzeczywistej nienaruszalności, której stanowi układ sił politycznych w świecie i nasze miejsce w socjalistycznej wspólnotie.

Ratyfikacja układów i ich wejściem w życie zainteresowane są wszystkie narody Europy. Łączą bowiem z nimi nadzieje na odprężenie na naszym kontynencie i pokojową współpracę między krajami. W komentarzach niemal z wszystkich stolic świata wiadomo o ratyfikacji układów przez NRF przyjęto z ulgą, że wreszcie będzie można zapoczątkować realizację pakietu propozycji służących pokojowi.

Takie nadzieje łączą obserwatorzy także z moskiewską i warszawską wizytą prez. Nixona. Nie sprzedając faktów — przypomnijmy dzisiaj raczej historię spotkań szefów Związku Radzieckiego i Stanów Zjednoczonych.

W ostatnich trzydziestu latach do spotkań takich dochodziło ośmiokrotnie, ale tylko w trzech wypadkach rozmowy miały charakter dwustronny: w 1959 roku w Camp David, w 1961 roku w Wiedniu i w 1967 roku w Glasboro.

R. Nixon był w Związku Radzieckim trzy razy: w 1959 roku, kiedy jako wiceprezydent przybył na otwarcie wystawy amerykańskiej, natomiast w latach 1965 i 1967 gościł jako osoba prywatna. Tylko więc w pierwszym przypadku prowadził rozmowy polityczne z przywódcami radzieckimi. Wtedy też podjęto inicjatywę rozmów na temat możliwości pokojowego zastosowania energii atomowej.

W komentarzach prasy światowej najczęściej przewiduje się, że wizyta Nixona w Moskwie przyniesie finalne rozwiązanie trwających od 1969 roku rokowań na temat ograniczenia broni strategicznej (SALT). Przypomnijmy, że dotychczas odbyło się 7 rund rokowań i 116 spotkań, których miejscem były przemienienie Wiedeń i Helsinki. Z rozpoczętą w marcu br. kolejną rundą rokowań łączy się nadzieje na porozumienie radziecko-amerykańskie w sprawie pierwszego etapu ograniczenia nuklearnej broni strategicznej. Czy przewidywania te spełnią się — przekonamy się wkrótce.

I na zakończenie powróćmy raz jeszcze do NRF. W ub. tygodniu pisaliśmy o złożoności sytuacji w parlamencie zachodniemieckim. Teraz napłynęły informacje, że rząd rzeczywiście szuka drogi wyjścia w przedterminowych wyborach. Kanclerz Brandt wysunął pod adresem opozycji propozycję porozumienia się co do tego. Przypuszcza się, że takim rozwiązaniem nie są zainteresowane partie chadeckie. Raczej zależy im na tym, aby utrudnić życie rządowi w Bundestagu i nie zezwalać mu na swobodne manewrowanie. CDU/CSU obawia się zresztą, że ratyfikacja układów będzie największym atutem wyborczym koalicji rządowej.

W. SŁAWSKI

Przekazanie wyspy Okinawy pod administrację japońską stawia określone problemy zarówno przed Japonią, jak i przed amerykańską strategią wojskową.

Dla Japonii oznacza to, że musi ona rozlokować tam siły samoobrony, które wezmą na siebie odpowiedzialność za ochronę Okinawy, jako nieodłącznej części Japonii. W związku z tym Japończycy będą musieli rozlokować na wyspie 6.800 żołnierzy, samoloty typu „F-104”, baterie rakiet „Nike” oraz inny sprzęt wojskowy.

Jednakże pojawienie się na Okinawie niewielkiej grupy personelu gospodarczego wywołało takie niezadowolone pacyfistów na wyspie i lewicowych krytyków w Tokio, że wszystko co już przetransportowano na wyspę, trzeba było odesłać z powrotem do Japonii. W związku z tym, być może, liczebność załogi wyspy zostanie zmniejszona.

Drugi problem dotyczy spornych wysp Senkaku, położonych na północny wschód od Tajwanu, w tej strefie Oceanu Spokojnego, w której Stany Zjednoczone nie są obecnie zainteresowane.

Do wysp Senkaku rości pretensje Japonia. John Foster Dulles złożył oświadczenie na konferencji pokojowej w San Francisco w 1951 roku, że Japonii pozostawi się częściową administrację na tym terytorium, znajdującym się pod amerykańską administracją wojskową. Teraz jednak Departament Stanu USA mówi, że zwraca wyspy władzom japońskim, ale definitywne załatwienie sprawy ich suwerenności odkłada na razie ad acta.

Te próby Stanów Zjednoczonych pozyskania sobie sympatii Chin, doprowadzają Japończyków do wściekłości. Na wyspy mają także chęć i Chiny i Tajwan, ponieważ wokół wysepek

Kraj ukryty w Himalajach

„GEOGRAPHICAL MAGAZINE” — LONDYN

Pięćsetkilogramowy bagaż, dwa lata starannych przygotowań i proszę: zapomnijcie o „katasie”. Mój przewodnik, Taszi, patrzy na mnie z wyrzutem. Ale i tak mieliśmy szczęście. Jakiś mnich sprzedał nam „katas” — białą, jedwabną przepaskę, którą — zgodnie z miejscowym obyczajem — należy podarować najbardziej czcigodnej osobie, by wyrazić jej swój najgłębszy szacunek. Nim weszliśmy do rezydencji monarchy, Taszi pouczył mnie, że powinienem ofiarować „katas” z oznakami maksymalnej „skromności i powściągliwości”.

Na szczęście ceremonia przebiegła pomyślnie. Przysiadłszy na skrzyżowanych nogach u stóp tronu dowiedziałem się, że jego wysokość Angun Tensing Trandul był 24 królem Mustangu (obecnie rządzi 25 z kolei król Dżigme Dordże Trandum). W rozmowie wyjaśniło się też, iż jego wysokość nie podejrzewa nawet, że ziemia jest kulista. Dla niego i dla jego poddanych ziemia jest całkiem płaska i ma kształt półkuli. Czyż można się temu dziwić? Czyż niemniej dziwne jest to, że w drugiej połowie XX wieku ludzkość nie wie o istnieniu Mustanga, tybetańskiego królestwa z wielowiekową historią?

Zagubione za szczytami Annapurny (8.078 m) i Dhaulagiri (8.172 m — siódma

malajów. Jest to największy kanion świata.

Gdy wreszcie nasza mała ekspedycja wyszła z tej gigantycznej górskiej szczeliny na wysokości 4.300 metrów, moim oczom ukazała się zadziwiająca stolica królestwa — Lo Mantong, wystrzelająca w górę obronnymi basztami, pośród pejzażu doprawdy księżycowego. Miasto jest opasane wysokim murem, kryjącym cztery wieże trzech klasztorów i biały pałac, ciasno otoczony tułaczami do siebie maleńkimi domkami. Do stolicy można wejść tylko przez jedyne wrota, zamykane codziennie o godzinie 8 wieczorem, które chronią jej 1.200 mieszkańców przed bandami i złymi duchami. W królestwie są jeszcze dwa miasta i 23 wsie. Domy w Mustangu buduje się z drewnianej formy i mocno prasuje. Jest to zabieg, odpowiadający, mniej więcej, naszej technologii przygotowywania żelazobetonu. Chłopom wolno budować domy nie wyższe, niż 3-piętrowe; miejscowa „szlachta” mieszka w 4-piętrowych domach, a król rezyduje w czterech 6-piętrowych budynkach.

Mustang wylania się z pomroku dziejów w 1300 roku. Jego założyciel, Ame Pal, przybył ze swymi wojownikami z Tybetu i zagarnął kilkanaście umocnień, których ruiny i dziś jeszcze widać w różnych rejonach kraju. Ongiś w Tybecie było około stu maleńkich, niezawisłych królestw, które zniknęły, gdy dalaż-lamowie podporządkowali sobie liczne drobne ksiąstewka. Do dziś zachowały się faktycznie tylko trzy tybetańskie królestwa: Mustangu, Sikkimu i Buthanu. Porozumienie między Nepalem i Mustangiem, na mocy którego królestwo zobowiązało się płacić Nepalu — i płaci do dziś — co około 150 dolarów rocznie, zapobiegło przyłączeniu Mustangu do chińskiego Tybetu.

Nazwa: Mustang, pochodzi od skażonego „Smong-tang”, co w zachodniotybetańskim narzeczu oznacza „dolinę modlitw”. Jak już z samej nazwy wynika, królestwo jest krajem głęboko religijnym i przypomina pod tym względem Centralny Tybet. Sześciuset, z ośmiu tysięcy mieszkańców kraju — to duchowni, należący do jednej z najbardziej starożytnych sekt tybetańskich „sakla”. Na terytorium Mustangu znajduje się trzynaście klasztorów, spośród których wiele stanowi unikalne zabytki kultury tybetańskiej.

Jest to kraj o klimacie ostrym i suchym, kompletnie

pozbawiony drzew i krzewów oraz bogatszych pastwisk. Tylko za cenę upartej i mozolnej pracy udaje się wysiać pszenicę i jęczmień, korzystając przy tym z kanałów nawadniających, które doprowadzają wodę z odległych górskich lodowców. Gdy kończy się krótki sezon uprawy ziemi i owiec, a powracają z ładunkiem soli, którą dostarczają z kolei do Nepalu.

Panuje tutaj równouprawnienie płci: kobiety nie osłaniają twarzy, dzielą trudy dnia codziennego na równi z mężczyznami i biorą aktywny udział w życiu społecznym. Należy to chyba tłumaczyć faktem, że w Mustangu jest szeroko rozpowszechniona poliandria — obojętna, pozwalająca kobiecie mieć kilku mężów. Zrozumiałe, że to zapewnia jej kierowniczą rolę w gospodarstwie domowym.

Surowy klimat, izolacja od innych rejonów, kładą swe piętno na ludziach, którzy wprawdzie rzadko chorują, ale niedługo żyją, wbrew szeroko rozpowszechnionej opinii o himalajskiej długowieczności. Chłód i wysokogórskie powietrze zapobiegają rozprzestrzenianiu się bakterii i dlatego choroby infekcyjne, tak powszechne w pozostałej części Azji, tutaj są praktycznie nieznanymi. Jednakże człowieka w wieku 60-ciu lat uważa się za zrzybiałego starca i bardzo rzadko spotyka się ludzi dożywających do 80-ciu lat.

Podobnie jak niedgdy, życie mieszkańca Mustangu jest sztywno ograniczone ramami społeczeństwa feudalnego. Władza królewska nakłada na poddanych obowiązki składania licznych danin. Wykluczając arystokrację, która pomaga królom, rządzą krajem, każda rodzina spełnia określone obowiązki: jedne noszą wodę do pałacu, inne zaopatrują pałac królewski w opal, jeszcze inne dostarczają ziarno, a jeszcze inne noszą bagaż królewski i dostarczają mu koni i jaków do przejażdżek po kraju itd... Ale wszystko to nie degraduje mieszkańca królestwa do roli chłopka parzyżnianego, w europejskim tego słowa znaczeniu. Podatki ściągają się nie z chłopów, a z pozostałych w ich użytkowaniu działek. Innymi słowy, z charakteru tych stosunków wynika, że jest to nie tyle państwo, ile odmiana dzierżawy.

Pogrom

„INTERNATIONAL HERALD TRIBUNE” — PARYŻ

W końcu kwietnia w prowincji Binh Dinh, na wybrzeżu centralnego Wietnamu, trzy duże okręgi, zamieszkałe przez 200 tysięcy ludzi, uległy naciskowi komunistów (Siły Narodowego Frontu Wyzwolenia Wietnamu Południowego — red.), nie stawiając prawie oporu.

Kilka lat pracy przy realizacji programu „pacyfikacji” poszło na marne, a „wietnamizacja” nie wytrzymała decydującej próby. Do niepowodzenia przynajmniej zarówno Południowo-wietnamczy (władze sąjgońskie — red.), jak i amerykańskie osobistości oficjalne, przebywające w Quy-Nhon, stolicy prowincji.

Pułk armii południowo-wietnamskiej w liczbie 3 tysięcy ludzi, zmniejszony, nawiasem mówiąc, do jednej czwartej przede wszystkim z powodu dezercji, walczył niedaleko od Quy-Nhon. Mało kto spośród amerykańskich doradców i przedstawicieli południowietnamskich kół rządowych wierzył, że utrzyma on pozycje. Oddział ten — 40 pułk piechoty — jak podano w wiadomości, nie wytrzymał

ani jednej próby w walkach, które prowadzi od dwóch tygodni.

Wysoki urzędnik południowietnamski, który prosił, by nie wymieniać go z nazwiska, powiedział po upadku okręgu Hoai-Nhon: „Straciliśmy go dlatego, że miejscowe oddziały były zdemoralizowane. Żołnierze z tych oddziałów są przekonani, że regularna armia sprzedała ich. Nie mogliśmy utrzymać Hoai-Nhon z powodu dezercji. Żołnierze opuścili swoje stanowiska nocą i nie weszli do walki, gdy rano rozpoczęło się natarcie”.

Jeden z amerykańskich doradców wojskowych powiedział otwarcie, że opuścił Bong Son, gdy zobaczył, jak dowódca 40 pułku oraz komendant okręgu Hoai-Nhon załadowali swoje łodówki do samochodu i uciekli, pozostawiając na pastwę losu wojsko i oddziały miejscowe. Wielu żołnierzy porzuciło broń i uciekło w góry.

„W Hoai-Nhon była zamierzana 25 proc. nadwyżka ryżu — powiedział jeden z doradców amerykańskich. Wiadomo teraz, kto ją wziął”...

Informatyka w biurach projektowych

(Dalszy ciąg ze str. 1)

radycznie zmieniły metodologię projektowania w krajach zachodnich, zmuszając tym samym nasze zespoły projektowe do poznania oraz zastosowania tych metod i środków, w celu dorównania zagranicznemu specjalistom. Nie wprowadzając na użytek codzienny do biur projektowych programowania matematycznego, teorii gier, teorii grafów, rachunku prawdopodobieństwa, teorii systemów lub innych znanych metod optymalizacyjnych, nie będziemy partnerami w dziedzinie projektowania za granicą, z oczywistą szkodą dla naszych interesów gospodarczych. Prócz tego, jeżeli w najbliższym okresie tradycyjny suwak logarytmiczny będzie nadal podstawowym środkiem obliczeń projektanta, wówczas nasze zacofanie techniczne będzie wzrastać.

Zachodzi więc bardzo pilna potrzeba dokonania radykalnych zmian, zarówno w metodologii projektowania, jak również w wyposażeniu biur projektowych w nowoczesne środki techniczne, do których należą między innymi: arytmometry elektroniczne z małymi pamięciami operacyjnymi, np. arytmometry włoskiej firmy Olivetti typu Programma 2, minikomputery o zestawach urządzeń zewnętrznych oraz peryferyjnych, dostosowanych do projektowania, urządzenia do wizualnego kontaktowania się z komputerami, zwane displayami, pióra świetlne, automatyczne stoły kreślarskie, maszyny do pisania z wyjściem taśmy perforowanej wielokanałowej, np. typu Optima 528, która jest dostosowana do współpracy z polskim komputerem Odra 1204 itp.

Zastosowanie wspomnianych urządzeń dynamizuje pracę projektantów, czyniąc ją wysoce koncepcyjną, a więc twórczą. Urządzenia te są podstawowymi środkami automatyzacji projektowania. Najważniejsze spośród nich to komputery różnych typów. Są one najbardziej wyspecjalizowanymi środkami technicznymi. Ich efektywne wykorzystanie w procesie projektowania wymaga ze strony projektantów umiejętności zastosowania modelowania matematycznego wszystkich zasadniczych elementów, wchodzących w skład projektu. Ścisłe opisy formalne (mate-

matyka), a nie intuicja, głęboka wiedza specjalistyczna oparta na gruncie matematyki, a nie staż (nawet bardzo długi) decydują o wynikach pracy nowoczesnego projektanta.

Komputery zastosowane w każdej dziedzinie działalności biur projektowych, jak projektowanie, analizy ekonomiczne, zarządzanie — eliminują w naturalny sposób tzw. rutyniarzy, którzy w obawie przed wysiłkiem, jaki trzeba włożyć, aby nauczyć się nowoczesnego projektowania czynią wszystko, aby zdyskredytować to, co wnosi ze sobą komputeryzacja biura, gloryfikując jednocześnie staż oraz intuicję. Nie można, oczywiście, negować tych dwóch czynników w procesie projektowania, ale również nie należy uważać ich za czynniki decydujące o wartości projektanta. Na podstawie własnych spostrzeżeń zagranicznych stwierdzić mogę, że w bardzo licznych przypadkach młodzi inżynierowie, którzy posiadali gruntowne przygotowanie merytoryczne, oparte na głębokiej znajomości badań operacyjnych i mieli do dyspozycji odpowiednie środki techniczne, stawali się bardzo często partnerami projektantów o długim stażu zawodowym. O sukcesach nowoczesnego projektowania decydują przede wszystkim wiedza projektantów i środki techniczne, pozostające w ich dyspozycji.

Komputeryzacja biur projektowych staje się bardzo istotnym czynnikiem, wyzwalającym zdolności projektowe młodych inżynierów i techników, którzy, jak pokazuje praktyka, bardzo chętnie angażują się do nowoczesnego projektowania. Wprowadzenie urzędowym hamulcem ich rozwoju stają się, powszechnie krytykowane, wymagania uprawnień projektowych, sprowadzających się do tego, że zdolny, czasami wybitny, inżynier lub technik projektuje, a premie bierze za niego kolega, mający uprawnienia, ale będący często uosobieniem tego, co wsteczne w projektowaniu. Należy spodziewać się, że tym problemem zajmą się odpowiednie władze resortów i przetrną ten gordyjski węzeł. Interes społeczny wymaga, aby rozwiązaniem tego problemu w biurach projektowych zająć się zdecydowanie.

Innym czynnikiem wpływającym na konieczność komputeryzacji biur projektowych jest zwiększenie zadań projektowych na skutek

rozpoczęcia realizacji nowej polityki inwestycyjnej przez państwo.

Obecnie, władze partyjno-rządowe wymagają od biur projektowych racjonalniejszych, niż dawniej, rozwiązań projektów. Projektowanie ma stać się projektowaniem optymalnym, a odpowiedzialność projektantów za przyjęte rozwiązania techniczno-ekonomiczne wzrasta niewspółmiernie do wymagań sprzed kilku lat. Również wymagania, dotyczące skrócenia czasu projektowania uzasadniają celowość komputeryzacji biur projektowych.

Należy z naciskiem podkreślić fakt, że dotychczasowe terminy realizacji inwestycji były spowodowane za długimi cyklami projektowania oraz wadliwą (bardzo często) jakością dokumentacji technicznej. Musimy zdać sobie jasno sprawę z relacji, jaka zachodzi pomiędzy czasem realizacji projektowanej inwestycji, a czasem niezbędnym na wykonanie jej projektu technicznego. Praktyka wskazuje na to, że usprawnienie projektowania związane jest automatycznie ze skróceniem czasu realizacji inwestycji. A o to głównie chodzi nam wszystkim.

Zasadniczym elementem pozytywnych zmian w tej dziedzinie staje się więc konieczność opanowania w procesie projektowania technik informatycznych oraz uczenia z komputera środka, który pozwala projektować optymalnie, ekonomicznie i szybko. Jest to dzisiaj zagadnienie pierwszorzędnej

wagi w realizacji polityki inwestycyjnej państwa.

Istnieje obecnie dobry klimat, stworzony przez władze państwowe, aby zrealizować sensownie to przedsięwzięcie.

Powołanie Krajowego Biura Informatyki (KBI), jako instytucji priorytetowej w dziedzinie komputeryzacji gospodarki narodowej, a więc i komputeryzacji biur projektowych, ma również sprzyjać rozwiązaniom praktycznym tych przedsięwzięć.

Z uznaniem należy odnotować fakt ideowego zaangażowania kierownictwa KBI w rozwiązywanie bardzo trudnych problemów, przed jakimi stoi informatyka w Polsce. Są środki finansowe (na razie skromne). Jest klimat. Jest kierownictwo, któremu możemy ufać, że podola zadaniom, jakie należy rozwiązać, ale jednocześnie istnieje ogrom problemów, wymagających wspólnego wysiłku wszystkich informatyków, wszystkich, którym głęboko leży na sercu sprawa poprawy organizacji naszej gospodarki, jako całości, a szczególnie zwiększenie efektywności inwestycji, limitujących stan gospodarki narodowej. Możliwość informatyki tkwiącej nie w typach komputerów (choćby tych z najdoskonalszym oprogramowaniem i najnowocześniejszym hardwarem), ale w wiedzy, doświadczeniach praktycznych i zbiorowym wysiłku specjalistów informatyki.

Problemy, które, między innymi, trzeba rozwiązać — możliwie szybko (czekają na nie biura pro-

jektowe o znacznym stopniu zaawansowania w dziedzinie informatyki) — to:

- ✦ ustalenie zasad korzystania z różnych programów już istniejących (opracowania własne biur projektowych);
- ✦ ustalenie zasad odpowiedzialności za program (kto ponosi konsekwencje za ewentualne mankamenty programu użytego w projektowaniu: projektant-użytkownik, czy autor?);
- ✦ ustalenie sensownych zasad odpłatności za korzystanie z obliczeń komputerowych (z jakich środków biura? czy obciążać projektanta?);
- ✦ stworzenie w rzeczywistego ośrodka informacji na temat programów już istniejących, będących w opracowaniu i planowanych do opracowania;
- ✦ definitywne rozwiązanie zagadnienia autorstwa programów;
- ✦ opracowanie wzorcowych programów dotyczących etapów komputeryzacji biur projektowych różnych typów, np. budownictwa ogólnego, technologicznych itp.

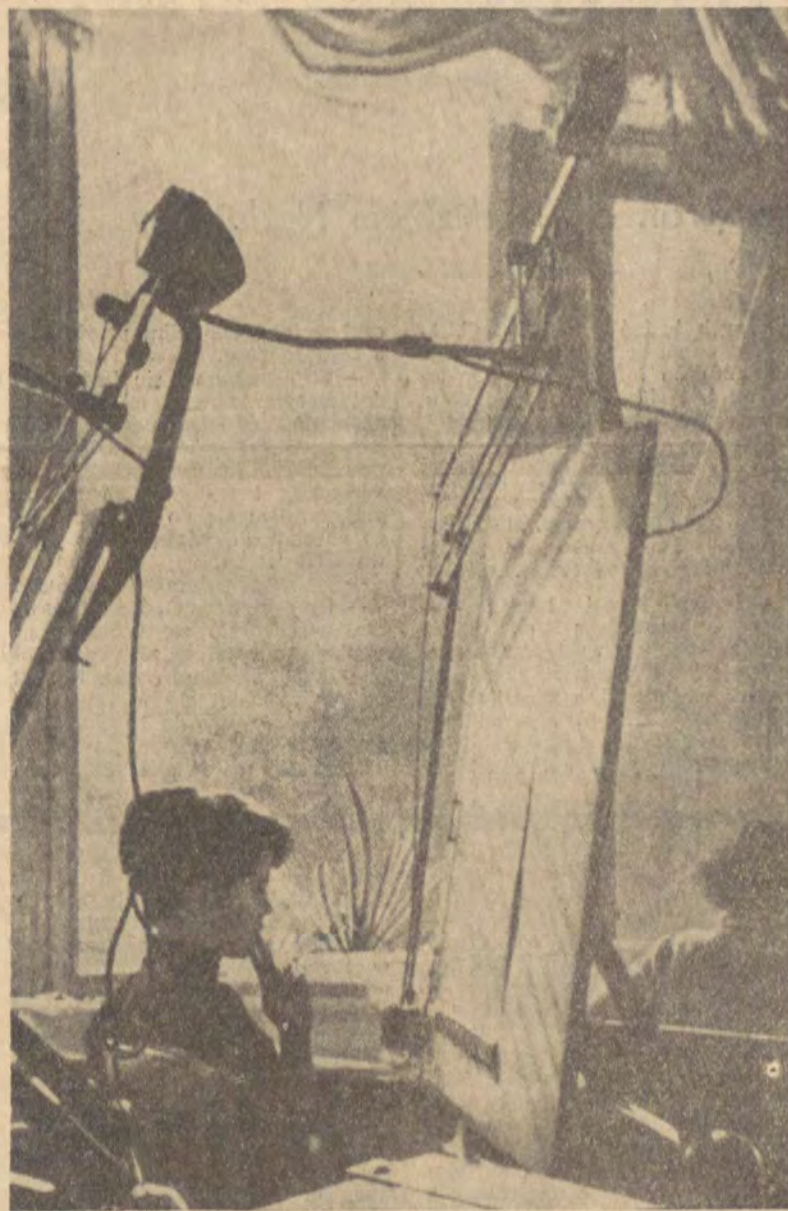
Nierozwiązanie dotychczas w/w problemów, lub rozwiązania położone niektórych, hamuje w poważnym stopniu pracę komputeryzacji w licznych biurach projektowych. KBI musi zająć się tymi zagadnieniami i rozwiązać je w skali krajowej.

Wymieńmy tylko niektóre z konsekwencji komputeryzacji biur projektowych, jako najbardziej uzasadniające realizację przedsięwzięcia komputeryzacyjnych: podniesienie na wyższy poziom wiedzy ogólnej oraz merytorycznej projektantów, przez odciążenie ich od żmudnych obliczeń itp., umożliwienie stosowania wielowariantowych rozwiązań, dzięki wprowadzeniu na użytek projektantów modelowania tematycznego, skracanie terminów cyklu projektowego (wpływ na skracanie cyklu inwestycji projektowanych), wprowadzenie do projektowania elementów rozwiązań optymalnych lub suboptymalnych, efektywne prowadzenie badań technologicznych, wprowadzenie na użytek biura nowoczesnych technik zarządzania i kierowania, zwiększenie roli koordynacji w projektowaniu, postęp w synchronizacji technologii projektowania, wprowadzenie nowoczesnych technik w archiwizacji dokumentacji projektowej itp.

Problem komputeryzacji biur projektowych powstał jako naturalna konsekwencja rewolucji naukowo-technicznej, która dokonuje się dzisiaj. Jej realizacja jest koniecznością, dyktowaną podstawowym prawem rozwoju, w myśl którego nieuczestniczenie w postępie naukowo-technicznym, powoduje stagnację ekonomiczną ze wszystkimi skutkami, jakie stąd wynikają.

W naszych, krajowych, warunkach komputeryzacja biur projektowych stała się możliwością, którą, wprowadzić za wolno, ale realizujemy, oczekując na pozytywne rezultaty, jakie ma przynieść gospodarcze narodowe.

Chodzi jednak o to, aby każdy inżynier i technik, matematyk czy ekonomista poczuł się odpowiedzialny za ostateczne wyniki udrażniania informatyki do gospodarki narodowej, a swoje zdolności, wiedzę, zapał i energię oddał tej wielkiej sprawie.



Fot. B. Bojariński

KAZIMIERZ KUŻBA

(Dalszy ciąg ze str. 1)

Dodajmy, że nie jest to jedyny kłopot jurorów, którzy muszą prócz tego przeanalizować całokształt dorobku wydanego w dziedzinie poezji w okresie między kolejnymi festiwalami (ok. 150 pozycji) i równoległe całokształt takiego dorobku w dziedzinie eseistyki o poezji (ok. 20 pozycji). Ale ta dwutorowość prac sądu konkursowego, analizującego zarówno bieżącą produkcję poetycką (konkurującą zarówno bieżącą produkcją w tomikach, pozwoliła na uchwycenie wszystkich aktualnych tendencji poetyckich w Polsce i dlatego właśnie łódzki festiwal ma tak istotne znaczenie dla wytyczenia dróg wierszopisarstwa w naszym kraju. Stanowi on bowiem konfrontację poglądów wszystkich pokoleń twórców, a zarazem przegląd wszystkich poetyk, jakie aktualnie uprawiane są w naszym kraju.

Dobłą platformą do zmanifestowania swoich poglądów stanowi zazwyczaj festiwalowa dyskusja. Wprowadzić jej zakres wyznaczają ramy referatów, ale doświadczenie uczy, że nie jest to obręcz żelazna. Zresztą tematy referatów stanowią jakby oko poetyckiego cyklonu. Wstarczącej zajrzeć do programu. Oto **Roman Łoboda** przedstawi nam poezję „jako czynnik i efekt modelowania osobowości”. Z kolei **Krzysztof Mętrak** skoncentruje swoją

uwagę na świadomości poetyckiej we współczesności. Wreszcie **Zbigniew Jerzyna** zreferuje „Aktualne tendencje w poezji”.

Ogólnopolski Festiwal Poezji od początku unikał samizolacji twórców. Na sali obrad widzi się przecież sporo tych, którzy sami wierszy nie piszą, są za to wrażliwymi

RZECZPOSPOLITA POETYCKA

czytelnikami poezji. Dialog ten prowadzony był od dawna, a dyskusja ogarnęła szerokie kręgi czytelników. Sprawa to prowadzona z uporem i rozmachem akcja spotkań autorskich, stanowiąca przedłużenie sporów i niepokojów festiwalowych. W tym roku uczestnicy łódzkiego

zjazdu wezmą udział w spotkaniach autorskich w 36 placówkach kulturalno-oświatowych na terenie miasta oraz w 12 podobnych placówkach na Ziemi Łódzkiej (szkoły, biblioteki, kluby prasy, domy kultury). Pobyt poetów na Ziemi Łódzkiej, co w tej skali zdarza się po raz pierwszy, rozszerzy zakres bezpośredniego oddziaływania festiwalu, a i samej poezji przysporzy zapewne nowych czytelników. Zresztą władze Ziemi Łódzkiej dowiodły, że nie boją się tego poetyckiego najazdu. Wprost przeciwnie. Oddały przecież do dyspozycji uczestników festiwalu gotycki zamek w Uniejowie (ufundowany przez arcybiskupa Jana Skotnickiego), w którego murach toczyć się będą obrady drugiego dnia dyskusji.

Na tym nie wyczerpują się bynajmniej festiwalowe emocje. Oto tradycyjnie już, pomiędzy uczestnikami, rozegrany zostanie Turniej Jednego Wiersza. Sekundantami w tych potyczkach będą: **Tadeusz Chrościelewski, Bohdan Drozdowski, Anna Kamińska, Roman Łoboda i Aleksander Rymkiewicz**. Wypada tylko życzyć, aby wiersz siał się gęsto.

Na zakończenie informacja. Obrady festiwalowe toczyć się będą 25-27 maja br. Organizatorami VII Ogólnopolskiego Festiwalu Poezji są Wydział Kultury Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej i Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi oraz oddział łódzki Związku Literatów Polskich.

KONRAD FREJDLICH

— Panie Profesorze — zwracam się z pytaniem do prof. dr. Andrzeja Nadolskiego, kierownika Zakładu Archeologii Polskiej Srodkowej Instytutu Historii Kultury Materialnej PAN — doszły nas słuchy, że oddał Pan do druku tekst swojej książki, poświęconej polskiej broni białej. Jak doszło do powstania tego dzieła?

Wydawnictwo „Ossolineum” wystąpiło z ciekawą inicjatywą wydawniczą. Przygotowuje cykl popularnonaukowych monografii poświęconych dziejom polskiego rękodziela. Opracowuje się więc książki o polskim szkiele, porcelanie, nawet o zegarach. Do mnie zwrócono się z propozycją napisania książki o polskiej broni białej, broni pałną powierzono jednemu z kolegów krakowskich.

— Jak Pan przyjął tę propozycję?

— Przyznam szczerze, że z dużym zakłopotaniem. Jestem specjalistą od historii uzbrojenia średniowiecznego, późniejsze epoki nie są właściwie terenem mojej działalności naukowej. Drugim powodem zakłopotania był fakt, iż stan wiedzy o zabytkowym uzbrojeniu polskim jest nader skromny, pokutuje wiele stereotypowych sądów dalekich od historycznej prawdy, a przecież bardzo zakorzenionych w świadomości społeczeństwa.

— Jest to zjawisko zastanawiające, jeśli się zważy, jakim sentymentem otaczamy tradycje narodowe i dzieje naszych walk o państwowy byt...

— To wynik między innymi 150-letniej niewoli. Kolekcje z zakresu uzbrojenia były solą w oku zaborcy, z drugiej zaś strony zryw powstańcze wiązały się z wykorzystaniem do walki często zabytkowych militariów, a więc i ich niszczeniem. Konfiskaty zbiorów uszczuplały zasoby zabytków, a ogólne warunki wykluczały możliwość systematycznych opracowań. Jeśli zdecydowałem się podjąć próbę całościowego przedstawienia historii polskiej białej broni, to przesądziły o tym następujące przesłanki: po pierwsze doszedłem do wniosku, że nie tylko ja, ale i nikt inny całości tego zagadnienia nie badał i każdy, kto podejmie ten temat, musi skorzystać z cudzych opracowań częściowych. Po drugie — mamy tu do czynienia z dziedziną, którą warto w kraju spopularyzować właśnie ze względu na jej znaczny ładunek ideologiczny.

Historią broni interesuje się zresztą cały świat. Świadczą o tym choćby wysokie i stale rosnące ceny odpowiednich zabytków na rynku kolekcjonerskim. Tymczasem to, co zagranica wie o miejscu Polski w historii uzbrojenia europejskiego, równa się niemal zeru. W opracowaniach zagranicznych o Polsce milczy się,

albo jeśli już pisze, to mnóstwo w tym błędów. Pytałem moich zagranicznych kolegów, dlaczego tak się dzieje. Odpowiadali: a skąd mamy czerpać informacje, skoro wy sami o tym tak mało piszecie.

— Panie Profesorze, w jaki sposób historyk zdobywa wiedzę o tak specyficznym przedmiocie, jak historia broni białej?

— Przede wszystkim opiera się na materiale zabytkowym w postaci zachowanych oryginałów, bada ikonografię współczesną dla danej epoki, studiuje źródła pisane, które informują o organizacji produkcji broni, jej cenach czy sposobie użycia. Gdybym oczywiście, chciał książkę oprzeć wyłącznie na własnych studiach, to jej pisanie trwałoby kilkanaście lat. Tak więc w odniesieniu do średniowiecza, korzystałem z

dla historii gospodarczej. Produkcja broni prezentowała zawsze, w każdej epoce najwyższy aktualny poziom rozwoju techniki. Broń, będąc narzędziem walki, była jednocześnie wyznacznikiem pozycji społecznej właściciela. W konsekwencji tego ostatniego faktu stawała się dziełem sztuki, często bardzo wysokiej klasy. Są takie epoki w jej dziejach, np. szesnasty wiek, w których zdobieniem broni zajmowali się najwięksi artyści. Nie bez znaczenia jest także rola broni w obyczajowości jej epoki. Przykład najbardziej znany — miecz w obrzędzie pasowania na rycerza. Warto tu przypomnieć, że w Ludowym Wojsku Polskim generał używa szabli, dokonując promocji oficerskiej.

— Wspominał Pan Profesor o własnych badaniach nad bronią średniowieczną, byłibyśmy wdzięczni za podanie kilku przykładów z tego zakresu.

— Zajmowałem się badaniami dotyczącymi okresu od początku państwa polskiego do schyłku XV w. Badałem m. in. miecz koronacyjny królów polskich — Szczerbiec i wydaje mi się, że przyczyniłem się do uściślenia jego chronologii, wiążąc go z połową XIII wieku.

— Na czym polegały te badania?

— Były to badania bronioznawcze, analizowało się ogólną konstrukcję miecza, zależną od sposobu walki w danej epoce. Kształt mieczy zmieniał się w zależności od tego, jaka zbroja była aktualnie w użyciu. Dodam jeszcze, iż dotychczas datowanie Szczerbca

opierano przede wszystkim na analizie stylu umieszczonych na nim napisów.

— Czy znamy w kraju wystarczającą liczbę zabytków z tej odległej epoki?

— Istnieje pewne duńskie opracowanie z r. 1954, dotyczące mieczów średniowiecznych i rejestrujące zabytki europejskie z wieków XII—XV. Wymienia się tam 434 okazy. W tej liczbie tylko jeden polski. Tymczasem badania łódzkiego ośrodka pozwoliły w 1970 roku opublikować rejestr prawie 70 mieczy znalezionych w Polsce. W ostatnich latach ta liczba powiększyła się o co najmniej kilkanaście dalszych egzemplarzy, odnalezionych czasem w ziemi, a czasem... w magazynach muzealnych. To najlepszy przykład, co mogą dać systematyczne badania i ile jeszcze mamy do zrobienia w tej dziedzinie.

— Jak wiele broni posiadało w dawnej Polsce?

— Podjąłem próby obliczenia ilości broni białej, używanej w niektórych epokach. Według znanego podreçznika historii Polski, wydanego przez PAN, cała ludność Rzeczypospolitej Obojga Narodów ok. r. 1640 wynosiła mniej więcej 10 milionów głów. Przyjmuje się, że szlachta stanowiła 10 procent, czyli około 1 mln osób. Zakładając, że na ów milion przypadają ok. 200 tys. rodzin i wiedząc, że w każdej rodzinie szlacheckiej była przynajmniej jedna szabla, można dojść do liczby 200.000 sztuk tej broni, znajdujących się na terenie państwa polsko-litewskiego. Jeśli weźmiemy pod uwagę, że nawet średnio zamieszkałe miasto miało po kilka szabel, o czym świadczą zachowane inwentarze, jeśli przypomnimy broni pozostającą w posiadaniu mieszczan, chłopów i żołnierzy niemieckiego pochodzenia, u motywowane stają się przypuszczenia, że w interesującym nas okresie było w użyciu w Polsce 400—500 tys. sztuk broni białej. Proszę policzyć — to kilkadziesiąt ton wysokogatunkowej stali i wartość pieniężna idąca w miliony ówczesnych złotych. Te liczby dają pojęcie o roli uzbrojenia w gospodarce kraju, w epokach minionych.

— Czy ta ogromna liczba broni powstawała w Polsce i może świadczyć o naszym ówczesnym potencjale wytwórczym?

— Tu odpowiedź jest trudniejsza, a cała sprawa dość skomplikowana. Już w średniowieczu wytworzeniem jednego miecza zajmowało się kilku rzemieślników specjalistów, często z różnych miast, a nawet krajów. Głównie były kute przez wyspecjalizowanych kowali, następnie często eksportowane nawet do innego kraju i tam dopiero szlifowane i oprawiane przez rzemieślników.

nków, zwanych miecznikami. Do zdobienia broni przykładali się czasem złotnicy. Średniowieczny miecz nosi nieraz znaki kilku wytwórców, stąd trudno powiedzieć, gdzie właściwie został wykonany. Nie lepiej jest i w późniejszych okresach historycznych, w XVI w. północnowoskockie warsztaty kuli głównie dla krajów Europy południowoskandynawskiej. W XVII wieku do Polski masowo importowano broń ze Wschodu, wyspecjalizowali się też w jej naśladowaniu lwowscy Ormianie i dziś czasem trudno stwierdzić, czy mamy do czynienia np. z oryginalną bronią perską lub turecką, czy też z ormiańsko-lwowską imitacją. Dużo wiadomości na ten temat dalyby gruntowniejsze studia ksiąg miejskich i sądowych. Materiału rękopiśmiennego jest na lata badań.

— Czy badania nad historią broni białej są w Polsce prowadzone obecnie na szerszą skalę?

— W tej chwili mamy w Polsce bardzo niewiele ośrodków pracujących nad uzbrojeniem historycznym. Poza Muzeum Wojska Polskiego, które dźwiga na sobie przede wszystkim ogromny ciężar gromadzenia, naukowego opracowywania i eksponowania militariów, związanych z dziejami naszego narodu, badania prowadzą także i inne placówki, np. Muzeum Narodowe w Krakowie, gdzie działa kilkusobowy zespół fachowców. W ostatnim czasie udało mi się, o czym już wspominałem, skupić w naszym Zakładzie grupę roboczą, zajmującą się historią uzbrojenia średniowiecznego. Sądzę, że ta nasza praca zaznaczy się niebawem na krajowym „rynku” naukowym. Projektuję się jesienią tego roku zorganizować w Łodzi międzynarodowe seminarium na temat uzbrojenia średniowiecznego z udziałem specjalistów z ZSRR, Francji, Anglii, Austrii, Czechosłowacji i Węgier. Będzie to pierwsze od wielu lat spotkanie międzynarodowe poświęcone tej tematyce.

— Panie Profesorze, wprowadziłem nieco w problematykę związaną z Pana książką, prosimy o kilka szczegółów na jej temat.

— Adresowana jest nie do specjalistów, wyjdzie bez tzw. aparatu naukowego, zaopatrzyłem ją jedynie w wykaz literatury przedmiotu, będzie bogato ilustrowana, wzbogaci ją ponad 220 fotografii i rysunków prezentujących najciekawsze okazy. Mam nadzieję, że ukaże się w niedługim czasie, choć dla wydawcy jest trudna do redakcyjnego opracowania. Objętość — około 15 arkuszy. Wyjdzie na razie tylko w języku polskim. Ze względu na, o których już mówiliśmy, pozytywne byłoby wydanie jej w wersjach obcojęzycznych.

Rozmawiał:

HENRYK PAWLAK

Narzędzie walki dziełem sztuki

Rozmowa

z prof. dr. Andrzejem Nadolskim

własnych badań i badań najbliższych współpracowników. W odniesieniu do innych epok pomocna mi była literatura przedmiotu, a nawet dyskusje z kolegami.

— Wiadomo, że stara broń, badania nad jej historią, kolekcje i wystawy mają poważne wartości nie tylko historyczne, ale i kulturowe. Jeśli można, to proszę kilka słów na ten temat.

— Badania nad bronią zabytkową zasługują na uwagę z wielu względów. Odgrywają bardzo istotną rolę w historii wojskowej, a więc i w całości historii nauk historycznej. Są także źródłem do poznania dzieł produkcji, co ma znaczenie

znaczący dla historii gospodarczej. Produkcja broni prezentowała zawsze, w każdej epoce najwyższy aktualny poziom rozwoju techniki. Broń, będąc narzędziem walki, była jednocześnie wyznacznikiem pozycji społecznej właściciela. W konsekwencji tego ostatniego faktu stawała się dziełem sztuki, często bardzo wysokiej klasy. Są takie epoki w jej dziejach, np. szesnasty wiek, w których zdobieniem broni zajmowali się najwięksi artyści. Nie bez znaczenia jest także rola broni w obyczajowości jej epoki. Przykład najbardziej znany — miecz w obrzędzie pasowania na rycerza. Warto tu przypomnieć, że w Ludowym Wojsku Polskim generał używa szabli, dokonując promocji oficerskiej.

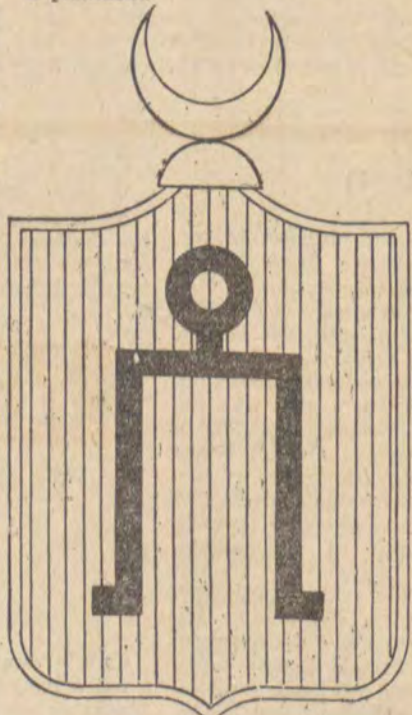
— Wspominał Pan Profesor o własnych badaniach nad bronią średniowieczną, byłibyśmy wdzięczni za podanie kilku przykładów z tego zakresu.

— Zajmowałem się badaniami dotyczącymi okresu od początku państwa polskiego do schyłku XV w. Badałem m. in. miecz koronacyjny królów polskich — Szczerbiec i wydaje mi się, że przyczyniłem się do uściślenia jego chronologii, wiążąc go z połową XIII wieku.

— Na czym polegały te badania?

— Były to badania bronioznawcze, analizowało się ogólną konstrukcję miecza, zależną od sposobu walki w danej epoce. Kształt mieczy zmieniał się w zależności od tego, jaka zbroja była aktualnie w użyciu. Dodam jeszcze, iż dotychczas datowanie Szczerbca

Dopiero teraz starszy, samotny pan zaczął wykazywać zainteresowanie pracą społeczną, niejako odnalazł siebie w nowej dla niego rzeczywistości. Napisał interesującą książkę o Reymontcie, która niebawem ukaże się nakładem Wydawnictwa Łódzkiego. Tytuł jej brzmi „Reymont w kręgu rodzinnym”. Otóż należy dodać, że żona Władysława Reymonta była cioteczną siostrą Stefana Talikowskiego i stąd osobista znajomość z pisarzem.



„Jachicz” — najstarszy rysunek znaku z XVI w.

KAROL BADZIAK

OSTATNI MOHIKANIN

MALO kto wie, że w Kutnie znajduje się prywatne muzeum. Właścicielem jest Stefan Talikowski, wielki miłośnik sztuki i wytrawny kolekcjoner, zawsze chętnie udostępniający swe zbiory zwiedzającym. W trzech małych pokojach wypełnionych dziełami sztuki, obrazami, sztachami, rycinami dawnych mistrzów, antykami i książkami, wyrobami z brązu i srebra oraz oryginalnymi zdjęciami Sienkiewicza, Reymonta, Kraszewskiego, Modrzejewskiej oddycha się atmosferą przeszłości. Pośród unikalnych zbiorów wyróżnia się medycyna z wizerunkiem Tadeusza Kościuszki, rytowany według portretu z natury. Dopelnieniem wnętrza są stare meble, zegary i świeczniki, nadające mieszkaniu bardzo polski charakter.

Stefan Talikowski osiadł w Kutnie po Powstaniu Warszawskim. Ze starego domu przy Elektoralskiej, zburzonego w trakcie powstańczej walki, pozostał mu tylko klucz od warszawskiego mieszkania. Klucz ten wisi na poczekaniu miejscu obok dzbanka z popiołami spalonego domu. To relikwie na rodzinnym ołtarzu. Nośnością za przeszłością skłoniła pana Talikowskiego do napisania kroniki całego rodu, który wywodzi się aż z Muślinowych Talików. „Talik” — oznacza czytającego Koran.

W przedmowie „Kroniki rodzinnej”, która stała się niejako sagą tatarskiego rodu, Talik — Talikowiczów — Talikowskich czytamy: „W Powstaniu Warszawskim spłonął nasz dom, nasze mieszkanie z całym urządzeniem, stanowiącym pamiątkę kultu przodków, spłonęły domy moich dziadków, moje zbiory poloników, lecz przede wszystkim spłonęły teżki dokumenty rodowych. Młodzież z naszej rodziny brała udział w Powstaniu i składała ofiarę krwi. Mimo tych strat nigdy słowo skargi czy żalu nie padło z naszych ust”.

Bogate i niecodzienne są dzieje tego sławetnego rodu. Protoplastą był beg chański Jaloir, przybyły w pierwszej połowie XV wieku z całą chorągwią na Litwę. Syn Jaloira-Alczyna, Czalik vel Talko, został chorążym chorągwi jaloirskiej. Czalik miał z kolei kilku synów, między innymi Tahira i Assana, obu marszałków chorągwi jaloirskich oraz Badera, założyciela rodu Bogdanowiczów.

Assan Talikowicz w roku 1506, wspólnie ze swym bratankiem Osmanem, synem Aszichmata, wykupił posła cara zawołżańskiego, Solimana. Ten Assan dał właśnie początek rodu Jachiczów-Talikowiczów. Jachicz był znakiem rodowym Talikowiczów. Według ustnej opowieści rodzinnej jeden z pradziadków pana Stefana Tali-

kowskiego porzucił pod koniec XVII wieku islam dla wiary rzymsko-katolickiej. Potomkowie dawnych wojaków przenieśli się w XVIII wieku z Wileńszczyzny w okolice Radomska i zajęli się garbarstwem, ogrodnictwem i handlem skórami, czyli tradycyjnymi zawodami tatarskimi w czasach pokoju.

Pradziad Teodor (1767—1840) był już na tyle spolszczony, że zmienił brzmienie nazwiska Talik-Talikowicz na Talikowski. W metryce urodzenia figurował jako Talik, a w akcie zgonu już jako Talikowski. Pochowany został na cmentarzu w Rozprzysku.

Dziadek Wojciech (1827—1883) jako jeden z pierwszych kupców zorganizował eksport garbowanych skór obuwia do Rosji. W jego kantorze na Elektoralskiej w Warszawie zbierali się uczestnicy Powstania 1863 roku. Wówczas właśnie uczestnik Powstania, Ludwik Sztanko podarował dziadkowi dzbanek do kawy z Orłem Białym i dwoma mieczami. Dzbanek ten, uszkodzony i wypalony to jedyna rzecz, jaką udało się wygrażać w 1945 roku ze zgłiszcz domu przy Elektoralskiej. Z wielkim pietyzmem przechowuje go pan Stefan Talikowski w swym nowym domu w Kutnie.

Po śmierci dziadka ojciec pana Stefana przejął skórzany interes i dorobił się znacznego majątku, wszedł do elity kupców i bankierów stolicy. Jego syn nie posiadał jednak utartym szlakiem rodzinnych tradycji, lecz skończył prawo i został adwokatem. Do tej pory jest kierownikiem zespołu adwokackiego w Kutnie, a ostatnio został wybrany prezesem Towarzystwa Miłośników Kutna.

Jacy jesteście?

„Odgłosy” są pismem społeczno-kulturalnym, a więc adresowanym głównie do czytelnika, mieszczonego się w szeroko pojętym kręgu środowisk kulturalnych. Nie możemy marzyć o kilkusetkrotnych nakładach „Przyjaciółki”, „Kulisów”. bowiem nasz krąg czytelników i zasięg terytorialny jest po prostu mniejszy. Czy znaczy to, że jesteśmy gorsi (lub lepsi) od pism wysokonakładowych? Nie, po prostu jesteśmy inni.

Tą różnicą są ambicje szeroko pojętych kręgów kulturalnych miasta, regionu, kraju. Ambicje i obowiązki państwowego mecenatu wobec tych kręgów. W Polsce te ambicje są zaspokajane, mecenat państwa jest wobec nich pełen zrozumienia. Przykładem choćby szereg pism regionalnych, które w ostatnim czasie powołano

czytelnik wyrobiony, o określonych ambicjach kulturalnych. Poza małymi wyjątkami wszyscy nasi respondenci czytają także „Kulturę”, „Politykę”, czasopisma ilustrowane. „Odgłosy” są dla nich jednym z elementów czytelniczej edukacji i rozrywki, co jest udokumentowaniem oczywistego faktu, że kręgi czytelnicze nakładają się na siebie, bądź zacieśniają.

Wśród ankietowanych prawie jedna trzecia to czytelnicy, dla których „Odgłosy” są lekturą od lat co najmniej dziesięciu. Najwięcej jednak czytelników, bo aż ponad 70, zyskaliśmy w ciągu ostatnich pięciu lat.

Spróbujmy teraz na podstawie wyników ankiety nakreślić typowy obraz naszego czytelnika. Otóż jest to mężczyzna (65 proc. odpowiedzi nadesłali mężczyźni), inteligent pracujący (często z wyższym wykształceniem), czytający „Odgłosy” systematycznie. Ów statystyczny czytelnik rozpoczyna lekturę od felietonu Cwieka, dalej czyta nowelę kryminalną, „Zawszad o wszystkim” i półkę z książ-

zyskują aplauz. To zjawisko normalne — natomiast naszym obowiązkiem jest tak wyważyć proporcje, aby nie zachwiać równowagi między symbolicznie mówiąc „poezją”, a „kryminałem”, między publicystyką a rozrywką. Czy zawsze się nam udaje zachować ową równowagę? Na pewno nie. J. P. Sartre mówi w sztuce „Niekrasów” ustami jednego z dziennikarzy: „Gazety się nie redaguje, gazetę się tańczy”. W tym tańcu zdarzają się więc i potknięcia.

Chcielibyśmy potykać się jak najrzadziej. Dlatego wchodząc w piętnasty rok istnienia „Odgłosów” dokonaliśmy tej jubileuszowej sondy. Piętnaście lat to dla

ba nam także pomocy naszych czytelników. Z tym przekonaniem, że nasz „ankietowy” kontakt nie będzie tylko kontaktem sporadycznym, wchodzimy w piętnasty rok istnienia „Odgłosów”.

JAK NAS OCENIAJĄ?

Pismo jest świetne i porusza bardzo dużą ilość ważnych problemów.

Zbigniew Szmidt — ślusarz

Dumny jestem, jako czytelnik, że właśnie „Odgłosy” wychodzą w Łodzi. Uwielbiam „Odgłosy” za najlepsze czytane przeze mnie pismo społeczno-kulturalne.

Zbigniew Łagiewski — laborant

„Odgłosy”, mimo, że istnieją już 15 lat, nie stały się pismem, z którego moglibyśmy być zadowoleni. Pisze się tu często o wszystkim i o niczym.

Barbara Biernacka — studentka

Niestety, chętniej czytam „Życie Literackie”, bo pomaga mi w pracy zawodowej. W „Odgłosach” ciągle jeszcze za mało jest ciekawych interpretacji lektur, szkiców literackich itp.

Hanna Zaborowska — nauczycielka

„Odgłosy” są moim ulubionym pismem. Wszystko, co w nim piszecie, interesuje: proza, informacje. Oby tak było drugie 15 lat.

Wanda Kuszewska — inżynier

„Odgłosy” są wspaniałe — wykręcone z „wody”, obcojęzycznych terminów, a co najważniejsze — przystępne dla wszystkich, a nie dla snobów. To pismo zawiera wszystko, co powinien człowiek wiedzieć.

Jan Kacprzak — student

Zbyt intelektualny poziom pisma.

Czesław Janowski — prac. umysłowy

Pismo, jakiego szukałem od lat. Bardzo dobrze redagowane, sporo ciekawych pozycji, mało nudny. Pismo ciekawe i użyteczne.

Alójzy Wiszniewski — prac. umysłowy

W ogólnym zarysie świetny tygodnik.

Lech Dutkiewicz — mechanik

Na ogół jest to pismo dość względne.

Alicja Rosiak — cukiernik

Uważam, że tygodnik spełnia swoje zadanie, lecz powinien być bardziej poszerzony o tematykę muzyczną oraz sprawy kultury i sztuki.

Tadeusz Kolański — konstruktor

W ośrodkach niebogatych w środowiska twórcze, o stosunkowo małych kręgach kulturalnych — Koszalin, Białystok, Kielce, Szczecin.

Wróćmy jednak do „Odgłosów”. Stojąc w obliczu pytań, jakie są i jakie powinny być „Odgłosy”, ogłosiśmy ankietę, na którą nadesłano nam 150 odpowiedzi.

Na początek kilka podstawowych danych. Z naszej ankiety wynika, że największą grupę czytelników (80 proc. odpowiedzi) stanowi inteligencja pracująca i pracownicy techniczni. Konkretnie: nauczyciele, ekonomiści, inżynierowie, technicy. Drugą grupą jest młodzież szkół średnich i studenci (32 odpowiedzi). Pozostali to rzemieślnicy, renciści, oraz — obecni w każdej ankiecie — „inni”, również ci, którzy zawodu nie podali.

Jeśli wyniki ankiety przyjąć za reprezentatywne dla całej czytelniczej społeczności naszego pisma, to jej tron stanowi

CO CIĘ W „ODGŁOSACH” SZCZEGÓLNIIE IRYTUJE?

Brzydkie zdjęcia na tytułowej stronie.

Jadwiga Baran — studentka

Zbyt specjalistycznie pisane artykuły o literaturze lub malarstwie, naspikowane obcymi terminami.

Tadeusz Runowski — inżynier

Przed wszystkim poezja.

Czesław Janowski — prac. umysłowy

Drukowanie nowel kryminalnych obcych autorów, czy nie mamy własnych?

Krystyna Markowska — mgr biologii

Zbyt mała objętość tygodnika i artykuły na temat sportu.

Wł. Tyszkiewicz — ekonomista

Za mało jest o historii Łodzi, o łódzkich aktorach sceny i estrady.

Mieczysław Waszkowski — frezer

Półka z książkami i poezją.

Mieczysława Katarasińska — pracownik fizyczny

Brak reportaży z innych krajów.

Andrzej Malewski — student

Bezwstydne fotosy.

Jadwiga Ossowska — nauczycielka

kami. Najchętniej czyta publikacje Karola Badiaka (95 głosów), w następnej kolejności — Andrzeja Makowieckiego, a potem Jana Koprowskiego, Teresy Wojciechowskiej, Jerzego Wilmańskiego (od 45 do 28 głosów czytelników). Statystyczny czytelnik cení także publikacje Romana Lobody, Konrada Frejdlicha, Władysława Orłowskiego i Jana Huszczy (od 19 do 10 głosów). Odczuwa na łamach pisma niedostatek tematyki rozrywkowo-sensacyjnej, ale także społeczno-politycznej i kulturalno-literackiej (130 głosów czytelników). Uważa, że więcej należy pisać o problemach społeczno-obywatelskich, o sztuce i literaturze. Niechętnie natomiast widzi tematykę przemysłowo-ekonomiczną.

Nasz statystyczny czytelnik kieruje pod adresem pisma szereg postulatów i życzeń. Ma nam również do zaproponowania konkretne tematy dziennikarskie i publicystyczne. Wybór tych propozycji zamieszczamy na tej łolumnie.

Wybraliśmy też z ankiet małą antologię ocen. Aby nie być posądzonym o tendencyjność, każdą ocenę pozytywną chciałem kontrować oceną negatywną. Tych ostatnich było jednak o wiele mniej i stał na czternastu wypowiedzi, zaledwie pięć stawia nam generalne zarzuty. Jest to procentowy obraz akcentów czarno-białych, wyłaniających się z naszej sondy.

Prezentujemy również na tej stronie skromny wybór innych uwag naszych czytelników. Łatwo zauważyć, że te same pozycje znajdują się często pod obstrzałem krytyki z jednej strony, z drugiej zaś

CO CI SIĘ W „ODGŁOSACH” NAJBARDZIEJ PODOBA?

Felietony Cwieka i artykuły kryminalne na ostatniej stronie.

Henryk Jacyna — rencista

Pełne zaangażowania artykuły dotyczące Łodzi.

Jerzy Smyczek — prac. naukowy

Problemy poruszane przez red. K. Badiaka oraz felietony „Od niedzieli do niedzieli”.

Stanisław Wiliński — kierowca

Komunikatywność pisma.

Zdzisław Rożek — mgr ekonomii

Właściwe metody i tematyka zjednocząca zarówno młodzież dorastającą, jak i ludzi w wieku emerytalnym.

Tadeusz Chądzyński — emeryt

Wiersze oraz sylwetki ciekawych ludzi.

Izabela Szczepaniak — uczennica

Reportaże o walce z przestępczością.

Zbigniew Stasiak — telemontet

Umiejętne dawkowanie problemów, szeroki zasięg tematyczny, mało powtórzeń, wiele nowości.

Krzysztof Minkiewicz — student

Tematyka sensacyjna i kulturalno-literacka.

Stanisław Pargiela — prac. umysłowy

POLONICA

ST. LEM W „LITERATUR UND KRITIK”

Z polonistów austriackich w ostatnim czasie godzi się „odnotować” przekład eseju Stanisława Lema „Nad prozą J. L. Borgesa”. Szkic Lema bywa często publikowany poza granicami. W języku niem. po raz pierwszy ukazał się w „Quarber Merkur” w styczniu ubiegłego roku. Obecnie przedrukowało go austriackie pismo literackie „Literatur und Kritik”, jako cenny przyczynek do poznania twórczości włoskiego pisarza. (er)

WITKIEWICZ PO FRANCUSKU

W wydawnictwie lozańskim „L'Age d'homme” ukazała się powieść Stan-

isława Ignacego Witkiewicza „Pożegnanie jesteni” („L'adieu a l'automne”) w tłumaczeniu i z postwaniem Alaina Van Crugten. Jest to już drugi utwór Witkiewicza, opublikowany w tym wydawnictwie i po „Nienasyce”. Paryski „Le Monde” informując o o-wym literackim wydarzeniu, dodaje, że powieść wielkiego polskiego pisarza, który popełnił samobójstwo w 1939 roku, została napisana w 1927. Po przednio ukazały się w Lozannie dramaty Witkiewicza po francusku, w dwóch tomach (wybór), a paryski „Gallimard” wydał cztery sztuki naszego pisarza, w dużym nakładzie, w kieszonkowym wydaniu, dzięki przekładowi Jadwigi Kukulczanki i jej francuskich współpracowników. W tych tłumaczeniach wystawiono owe sztuki w teatrach Paryża, Genewy, Liège i Lozanny w radio i telewizji francuskiej.

Zainteresowanie autorem „Matki” i „Szewców” nie

siabnie w obrębie francuskiego obszaru językowego.

W. N.

SZTUKA A. MULARCZYKA W „STRZESZE”

Z różnorodnej twórczości Andrzeja Mularczyka coraz częściej powodzeniem cieszą się jego sztuki. Przykładem tego może być sukces, jaki odniosła wiedeńska adaptacja sceniczna jego utworu „Moja prywatna sprawa”.

Sięgnął po nią Amatorski Zespół „Strzechy”, czyli Związku Polaków w Austrii i wystawił ją pod kierunkiem Włodzimierza Wilkoza dla uczczenia Święta Pracy. Premiera sztuki Mularczyka odbyła się 29 kwietnia br. i przyjęła ją z uznaniem.

POLONICA



Rys. E. Inglot

TADEUSZ CHRÓSCIELEWSKI

Rozmowa autora z ojcami czasu przeszłego w Łagiewnikach

Głodny dusznych obroków i czasów za czasem,
Błądzą po Łagiewnikach i widzę: pod lasem
Jak kwiaty przebiśniegu wdrożone w doniczki

Lśnią Augustis regnande zakwitłe kapliczki;
Ciecze woda u progu. Spod bożych kół młynskich
Nosicielami ją taszcą Kalkowski z Chylińskim.
W tle widzę autobus, Łódź i dal, a w dali...
Diabeł. Pchły strząsa z kudłów, circus mundi pali
Ogonem ogniorodnym, jak lwich paszczy bukiet.
Do obu nosiwodów spieszę po naukę:

— Co czynić, ksze Kalkowski, z saskich lat
gwardianie,
By nam fimfy nie puścił psiogłowy zaprzaniec?
— Na chwałę diabli i kura czerwonego żagiew
Świętego Floryjana pomocna jest łagiew.
— Mówiąc „fimfa” na myśli mam wszelkie
wciurności:
— Wszelkie? Na te pomocą zbożność powszechności.
— W czym zaś zbożność?

— Popytaj Chylińskiego, Słynął

Nad Syon z niej. Co noc grzbiet rabał dyscypliną,
Parczy dziadom całował, kochał się w niewczasie.
Na zbożności powszechnej on nad Syon zna się.
— Co czynić, ksze Chyliński, zdradź wiersza

czytaczom,
By ową peryfrazę na świat — „padół płaczu”
Zabrał w diabły do piekiel bandzior świętej kobry?
— Żyć w zgodzie z barwą czasu. Secundo — być
dobrym...
Znikli hucząc łagwiami pod kryptą baroku,
A jam sytszy napaństwem dusznego obroku.

JANUSZ KRÓLIKOWSKI

Przedmieście

Nocą krew głośniejsz krąży
Po zaułkach i bramach
A w barlogach się lęgną
Głodne pluskwy i noże

Rano znów zamiast słońca
Wzjeżdżie krwawiący tors

MACIEJ JÓZEF KONONOWICZ

Eschatologia ziemska

Belki, deski, glina,
a na kamiennych podwalinach,
we dwóch,
wpatrzeni plecami w słońce,
wpatrzeni oczami w swój cień,
siedzą, dyszą, pulsują — —
bursztynowymi bruzdami
słona żywica potu...
Cisza, milczenie, spokój.
— — Ty, to ja idę do kuźni!
Pod czerepem — słowa
uwierają, niepokoją, pulsują,
cień rośnie na piasku,
grzbiety patrzą w słońce,
co idzie na zachód.
W głąb zapatrzenie —
ileż skupienia, ile myślenia, by rzec:
— — Ty, to ty idź!
Wtedy oderwał się cień od cienia.

Tu stanie chata.
Z drzewa. I z kamienia.

MIECZYSLAW MICHAŁ SZARGAN

Anioł

Już chyba za mną nie idzie ten anioł
Stróż ciemnych ulic i jasności miecza
Tych dwoje skrzydeł nie dźwiga na plecach
Prześwieconych błoną słoneczną jak osa.

Już ten obrazek z tą przegniłą kładką
Przebiegły szczyry raniąc sobie brzuchy
Ten gwóźdź w powietrzu jak samotny człowiek
Z głową na rękach wpartych w kamień smutny.

Już chyba nie idzie za mną ten anioł
Przez krzaki agrestu białe jak żmije
Tej kładki mi nie waży nad wielkim szkłem wody
I nie budzi jasno karbidową lampą zorzy.

Teraz gdy w nocy krzyczy czarna ściana
W gardle drewnieje anioł wiekulisty
A ten z twarzą chłopięcą tak daleko stoi
Ze muszę iść do niego miliardy snów świetlnych.

KONRAD FREIDLICH

przesłanie

wszystkie strony runęły pod światła ciężarem

nie ma już
ziemi
ognia
powietrza
i wody
nasze mózgi sferyczne wirują wytrwale
i oczy wysadzone wytracają z orbit

tylko zapadanie
w bezkresu
wieczną
grząskość
iskrę skrzesać o gwiazdę nieostrożnym lotem
i przez grudy galaktyk poprzetaczać słońca
w układy bardziej wiotkie od rąk
gdy w pieczęcie

a tu wciąż jeszcze księżyc uwiera nam niebo
w odciskach całej
mroku nabiegłe puchliną
wijemy się przez wszechświat plemnika istnieniem
szorstką płachu miałkością co kości okryje
a tu zaledwie księżyc

lżejszy o myśl wszystką
bo choć skrzeplą posoką wulkanów zbryzgany
tęknota w pierwszej kwadrze podpala powoli
żuźle na ospiskach prąciszy zleżale

a więc księżyc
sztandarom o widnokres wsparty
by się nagle nie potknął w odwiedzonej próżni

don't bang the door ty mówisz
aż w ostatniej kwadrze
cyklony omdlewają pod pancernem butli

teraz krokiem ludzkości drobisz tamtą suchość
co ci szybką skafandra zapociła pyłem
aż się w oczach zakreśli ziemi krążek marny
pełnią głodów jaskrawo świecący w ciemności

TADEUSZ GICGIER

Trzy zwrotki o Łodzi

Dudni tramwaj, drżą ściany, to drżenie przez cegły
przenika do mych tkanek, dom się rozkołysał.
Za to, że Łódź rzuciłem, że od niej odszedłem —
teraz ta cisza.

Miasta huk nieustanny, niesłyszalny wtedy,
tak włóknarz huku tkalni ciąglego nie słyszy.
Za to, że Łódź rzuciłem, że od niej odszedłem —
tkwią teraz w ciszy.

Liczne głosy przyjaciół, w jeden akord zbiegłe,
gwar i spory, kawiarnie, bębni ktoś w klawiszce.
Za to, że Łódź rzuciłem, że od niej odszedłem —
mam teraz ciszę.

1972

LUCYNA SKOMPSKA

Mimesis

małżonkowie są spokojni pies przyjaciel człowieka
leży u ich stóp różowe ranne sandały

na pierwszym planie
małżonka Arnolfini czeka na moje narodziny
cieniotka linia może płacz biegnie wśród

umarli przychodzą z pomocą marchew jest tania
rumianek parzyć

trzy razy dziennie kurz ze zdjęć rodzinnych
zdjęć gęsim piórem

unosi się zapach kadzidła matki przytulają
mnie do łona

życie naśladowe sztuki mimetyzm rządzi moim ciałem
jeden celny strzał i jako wollyżerka

wskakuję na konia
wieczorem z grubego ciała zdejmuję żółte spódnice
czarne gorsety panowie są znudzeni

z przymrużeniem oka patrzą na płonący
któryś tam cud świata

w parku fabrycznym dwie boginie włóczą się za włosy
zemsta niebios jest okrutna przypadek jest ślepy

kulawe córki i chwiejni synowie ospale
poruszają się wśród mitów

matki jako dostojne hipostazy przybierają
wymyślne pozy

zmieniają oblicza i myślą o wiecznym trwaniu
ojcowie siedząc w wychodkach obmyślają

koniec świata
planują sąd ostateczny i odkupienie dusz
siostry i bracia z nieprawego łoża wchodzą

w swoje odbicia
nadzy i nieśmiali zostawiają oszukane

przestrzeni koturny
czarne płaszcze woalki białe suknie dyplomy

ordery talizmany
znajdziesz mnie wśród nich dopiero urodzoną

prawdopodobną i udającą pocałujesz niewierną
kochającą

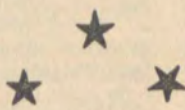
upadłą czcigodną obejmiesz — zaledwie
nadmienioną w przypisach

1970



Rys. L. Woźnicki

MAREK WAWRZKIEWICZ



Niechaj się spała te ostatnie astry,
Niech nad nami listopad zapłaczę woskowo,
Bo oto już splywamy w piasku wąż ciasny —
Fala czasom posłuszna, niedojrzały owoc.

Albowiem zawsze skąpo dni na dojrzewanie,
Za mało światła, ognia, powietrza i wody.
I spadnie na nas tylko — jak garść ziemi — pamięć
Tak krucho jak kość biała, pusta jak oczodół.

MIECZYSLAW KUCNER

Animal sociale

Sto mil przed Kantem i przed Marksem mil tysięcy
tłumy niewolników zalewają skwery, kawiarnie i plaże;
w domach, więzieniach i biurach jednowymiarowy
człowiek
siebie zapiera się już po raz który? Krew na asfalcie.
To ostatnia miesiącza trawi samotność wspólnoty:
ciało obok ciała, że możesz sięgać ręką, że brak nawet
szczeliny dla „tak”. Chęć tutaj nie określa mnie,
a serce rzeczy nie jest płomieniem mojego umysłu,
kiedy sam sobą odsłaniam jego chwiejny sens.
Ukrzyżowany przez hałas pył ludzki w sobie skręca się;
w kombinację placzu, bólu nerek i narzekania
na cokolwiek:
drożyznę, próchnicę zębów i materializm dialektyczny.
Wszystkie progi czułości, znajome wejścia i wyjścia
opakowane w normy: jest jak jest i nic więcej. Śmierć
tylko daje nam szansę: możemy się wobec niej określić.
Oto zapraszającym w siebie gestem otwiera
drogi do wolności,
lecz nie wykarmi naszych dni, nawisłych
nad horyzontem nisko...



Rys. E. Woźnicki

JÓZEF HENRYK WIŚNIEWSKI

Pogrzeb

Zanim wszedłem do tego pokoju nie wiedziałem, że
to już dom żałoby. Gdy zbliżyłem się — wisielec po-
dał mi rękę, opowiedział dowcip, co slychać — zapy-
tał, na wódkę zaprosił... Choć był to jego garnitur za-
ledwie. Więc było, jak gdyby nigdy nic. A kiedy
miało być co?

Pragnienie

Nim narodziły się moje wargi, zanim stanąłem nad
zatoką — już przekazali mi pragnienie. I odtąd pra-
gnę na dobre i na złe, niezależnie od warg i zatoki —
pragnę.

— Zaraz, zaraz — niech ja sobie przypomnę —
czego to ja mianowicie pragnę...?

MIROSLAW KUŹNIAK



nic się nie skończy nic się nie odmieni
w tych samych salach śpią spokojnie zmarli
historia nasza uczy nadaremno
historia: Światło albo
Wielka Ciemność

na żółkłych kartach cichną psie skowyty
Władca wpisany w tok kursywy
gładkiej
petit jak jedno małe ziarno maku
usypia petit w ciszy biblioteki

Iza Izę ubiera
Iza Izę wciąż powtarza
szaleńcy giną w tajnych Korytarzach
Kordian w łańcuchu czcionek szarpie księgi
— nic się nie skończy tak jak nie odmieni

historia nasza uczy nadaremno

zgaś chłopcze Światło gdy odchodzisz
w Ciemność

Rys. E. Woźnicki

JACEK BIEREZIN

Traktat

(FRAGMENT)

IV

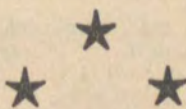
Chciałem ci jeszcze przypomnieć i o tym
że jeśli nie chcesz uciekać od świata
musisz w nim znaleźć częśćkę swojej kłęski
to jest tak wiele co mnie łączy z tobą

Twoje więzy ze mną przyjacielu bracie
to wspólne rzeczy których mamy bronąć
musiałem dzisiaj o tym opowiedzieć
abym się nigdy nie zapomniał więcej

Naszą wspólnotę potwierdza nasz bunt
ten co wyrwa nas z osamotnienia
gorący węgiel który służy życiu
w szlachetnym geście tożsamości losów

- nienawiść człowieka jest nienawiścią ludzi
- skarga człowieka jest skargą ludzi
- pewność człowieka jest pewnością ludzi
- cierpienie człowieka jest cierpieniem ludzi

ANDRZEJ BISKUPSKI



Więc zbaw nas ode złego — rewolucjo; i ty pajęczku
mały
na podłodze; zbaw nas od grzechu najcięższego,
zbaw nas
skutecznie, tak jak bóg — który chce wodzić nas
na pokuszenie
i myśli nasze czyta ślepiąc, by nie przeoczył który
z nas
buntownik jest: i łaskę zsyła...

To kiedy dziś już boga nie ma — daj nam zbawienie
w potępieniu; i nie postrącaj nas w otchłanie;
i dodaj nam do garnka grochu kobietę naszą
schorowaną —
która prześniwa życie w śnie, i która nie zasypia
śniąc...

Tak jak i ty pajęczku śnisz swą muchę wielką:
w mojej głowie...

JERZY WAWRZAK



Nie przejdziemy przez tajemne reguły układów
Nie obejdziemy siebie, nie uciekniemy na skraj świata

Była trwanie. Jak nazwać inaczej miłość tego lata?
Trwanie aż do jesieni

Do złotego października
Do bieli na dachach

Potem już łatwo było...

A jakże! Wszystko było, więc można by śmiało
zawrzeć układ dwustronny między „jest a miało”
uchwycić złoty środek chwili zapomnienia
zrzeczenie się uwolnić z opłatów sumienia
— dach nieba stromo ku nam się przechylił
bądźmy wiatr jak wodę życia haustami pill

Gwiazda moja nie zgaśnie w nieba wielkiej ciemni
i bądźmy szczęśliwi, niemi i bezsenni.

ZDZISŁAW JASKUŁA

Zapis

W chórze świata słyszę także siebie

Zwierzęta rośliny i ludzie nawołują się w nieznanym
językach
W mroku wzgórz w nasyconym światłem obłokach
na dnie zapomnianych mórz i rzek, którymi idziemy
wzbiera szalona muzyka krwi

W chórze świata słyszę także siebie

Mówię a mój głos opada w Wielki Cień
w ten Wiersz który nic nie ocala

1971



Rys. R. Cieśliewicz

Na tle kurtyny zasłaniającej scenę pojawiły się trzy liczby: 88 premier, 7.920 przedstawień 5.300.000 widzów. Te trzy liczby obrazują, w największym z możliwych, skrócie 25-letni dorobek łódzkiego Teatru Muzycznego dawniej zwanego Operetką Łódzką.

Bez żadnych okazjonalnych grzeczności powiedzieć można, że jest to jeden z najpopularniejszych teatrów w Łodzi, a także, że jest to jedna z najstarszych scen w mieście. Stworzyła ją grupa aktorów wileńskiej Komedi Muzycznej „Lutnia”, przybyłych do Łodzi w końcu 1945 roku. Jeszcze w tym samym roku wystawili w sali Domu Kultury Milicjanta przy ulicy Nawrot 27 „Podwójną buchalterię” Grunna. Następna premiera — „Król włóczędów” Frimla — była się już w nowej siedzibie przy ul. Piotrkowskiej 243, gdzie teatr bawił łódzian do 1958 roku. Wówczas bowiem Operetka ukształtowała gmach przy ul. Północnej 47. Tu działalność artystyczną zainaugurowano musicaliem „Kiss me Kate” Cole Portera. Ograniczam się do wymienienia tych trzech premier nie tylko dlatego, że trudno byłoby wymienić 88. Wydaje mi się bowiem, że symbolizują one w jakimś stopniu metamorfozy artystyczno-repertuarowe, jakie przeżył teatr, w ciągu tych lat.

Różnego rodzaju kłopotów miał teatr wiele, jak każda zresztą ambitna placówka kulturalna, na przestrzeni jubileuszowego ćwierćwiecza. Wydaje się, że najwięcej jednak sprawiał właśnie repertuar. Początkowo opierał się głównie na operetce klasycznej. A kimże się ona zajmowała? Hrabina Marica, baron cygański, hrabia Luxemburg, księżniczki, i księżne, jednym słowem tzw. wyższe sfery, w owych latach raczej u nas niepopularne. Więc „Hrabina Marica” została w 1946 r. wystawiona po prostu jako „Marica” i tytuł hrabiowski został jej przywrócony dopiero na drugiej premierze, w 1968 r. Siedząc dziś zmagania repertuarowe teatru można by je podzielić na etapy: hrabiowski, radziecki, amerykański i polski. Jest to oczywiście podział uproszczony, bowiem dbano zawsze o zachowanie różnorodności gatunków i pozycje z poszczególnych „etapów” były starannie mieszane. Było to jednak odbicie tego, co się działo na scenach rozrywkowych w świecie.

A w świecie rewia, musical, współczesna komedia muzyczna wypierały operetkę klasyczną z jej naiwnym librettem, przestarzałym aktorstwem. W Łodzi, na dodatek pojawił się gmach Teatru Wielkiego z wielkimi możliwościami techniczno-artystycznymi, który nie odstępował się od wystawiania wielkich pozycji operetki klasycznej. Więc nad ulicą Północną zawisła nowa chmura. Myślę, że ta sytuacja wcale Teatrowi Muzycznemu na zle nie wyszła. Konieczność życiowa zmusiła do poszukiwania pozycji nowych i współczesnych, dopomogła do „samookreślenia się” tej sceny.

TERESA WOJCIECHOWSKA

OD OPERETKI DO TEATRU MUZYCZNEGO



Krystyna Nyc-Wronko i Jan Padkowski
Fot. Fr. Myszowski

Przemiany repertuarowe pociągnęły za sobą dalsze konsekwencje, które niezbyt elegancko można by nazwać przekwalifikowaniem zespołu artystycznego. I okazało się, że w repertuarze coraz lżejszym pracuje się coraz ciężiej. Bo od stojącego dawniej sztywno solisty, śpiewającego arie miłosną do dyrygenta, zaczęto wymagać, by był jednocześnie śpiewakiem, aktorem,

tancerzem, czasem akrobatą bez mała; od chóru, by tańczył, od baletu, by śpiewał. I choć nie było to łatwe, jakoś sobie poradzono. Wykazała to niezbitnie przygotowana na obchody jubileuszowe premiera musicalu „DIABEL NIE SPI” Ryszarda Sielickiego do libretta Antoniego Marianowicza i Ryszarda Marka Grońskiego (według „Diabla i karczmarki” Stefa-

na Krzywoszewskiego). Myślę, że wybór tej właśnie pozycji był dobrze przemyślany i że można go traktować jako zapowiedź kierunku repertuarowego na przyszłość. A więc musical z preferowaniem pozycji polskich. A — żeby odpuścić w niemalowane — polska twórczość musicalowa jakoś się zaczyna rozwijać. Poprzednio oglądaliśmy „Kaprą królewskiego” Jana Tomaszewskiego, w planach teatralnych umieszczono „Nikodema Dyzmę” Andrzeja Hundziaka, „Opiekuna mojej żony” Piotra Hertla i „Wielką aleję” Jana Tomaszewskiego. A także dalsze, o których mówić jeszcze za wcześnie.

Najważniejsze jednak, że są to pozycje coraz lepsze. Spółka autorska Marianowicz — Groński wydaje się bardzo udaną. „Diabeł nie śpi” odznacza się sprawną konstrukcją dramaturgiczną, kulturalnym, nareszcie pozbawionym tracących myśk dowcipów, tekstem pełnym — charakterystycznych dla satyrycznej twórczości Grońskiego — kalamburów finezyjnych, barwiących dialogi nieustannie dowcipem, żartem, niezrędko intelektualnym.

Piekło i jego gospodarze to temat atrakcyjny, bo dający nieograniczone pole do popisu wyobraźni, ale też temat, który łatwo zwulgaryzować, przebarwić. Mimo, że libreciści wykorzystali wszystkie możliwe o diabłach powiedzenia, uczynili to taktownie i z umiarem, rzec by można, nie demonizując tematu. Zbigniew Czeski — reżyser, inscenizator i choreograf w jednej osobie, w pełni wykorzystał materiał libretta, swymi pomysłami wzbogacając dowcip sytuacyjny przedstawienia. Spektakl jest żywy, barwny, zabawny. Układy taneczne ciekawe, dowcipne, dobrze wykonane. Dowcip słowny libretta poparty został dowcipem sytuacyjnym, którym błyszczy szczególnie akt drugi. Rzecz interesująca, „Kaper królewski” jest dramaturgicznie skonstruowany podobnie do „Diabla”: akty pierwszy i trzeci rozgrywają się w karczmie, akt trzeci jest zbiorem scen wyczarowanych wyobraźnią tam czarownicy, tu diabła. I o ile w „Kaprze” akt drugi był nudną, pełną nieporozumień kolekcją tanecznych obrazków, to w „Diablu” akt drugi jest najlepszy.

Brawo za prześliczną corridę z arcyzabawnym bykiem w Sewilli, za wenecką gondolierę, wreszcie za sceny w Sankt Petersburgu. Notabene sukces reżysersko-inscenizacyjny tego aktu trudno oddzielić od sukcesu aktorskiego Andrzeja Fogla, który tego aktu był głównym bohaterem. Tak samo jak diabeł Kusy w pozostałych aktach, tak i tu jako gondolier, torreador czy sztabkapitan, dał popis gry aktorskiej, wielkiej vis comica, sprawności fizycznej wreszcie. Prawdziwą satysfakcją jest obserwowanie rozwoju talentu scenicznego tego młodego artysty coraz lepszemu i dojrzalszemu również wokalnie, w każdej kolejnej premierze. Drugim, zasługującym na szczególne wyróżnienie wykonawcą jest Krzysztof Hartwig w roli Roźnika, diabła — kandydata do awansu. Pięknie brzmiący, o bogatej skali głos tego artysty idzie szczęśliwie w pa-

rze z talentem aktorskim i poczuciem humoru, które pozwoliły mu zagrać bezbłędnie oba wcielenia Roźnika — demoniczne i mazgajowate. Tango z trzeciego aktu w wykonaniu duetu Hartwig — Fogiel było prześliczne. Mniej przekonujący w roli Roźnika była tu chyba charakterystyka, która uczyniłaby artystę bardziej diabolicznym. Za to partie „lubczykowe” rozegrał zabawnie.

W roli Kasi — karczmarki oglądaliśmy pełną autentycznego wdzięku, urody i swobody scenicznej Krystynę Jarmułównę, a w drugiej obsadzie Małgorzatę Wilk, która tą rolę debiutowała w zasadzie na scenie Teatru Muzycznego. Był to debiut udany, artystka dysponuje ładnym, dobrze wyszkolonym głosem, urodą i zdolnościami aktorskimi. Anna Gebicka, której rozwój aktorski jest również widoczny, z właściwym sobie temperamentem zagrała diaboliczną Pamfilę i wszystkie jej wcielenia. Z dwóch Janów lepiej podobał mi się Edward Kamiński. Jan Spieczynski nabyć musi jeszcze ruchliwości i swobody scenicznej. Jedyna pretensja jaką mam do Zbigniewa Czeskiego to „scena balkonowa”, podczas której panowie „doubierają” się na scenie. Niechże kończą toaletę w sypialni!

Wyższy szczebel hierarchii piekielnej reprezentowali z właściwą powagą Czesław Jarosiewicz i Ryszard Wasowicz, szefa — Lucyfera — Witold Jawis i Jan Padkowski, obydwa interesujący, przy czym tekst podany przez Jana Padkowskiego (a rola ta to przede wszystkim tekst) czytelniej dochodził do publiczności. I skoro doszliśmy do tekstu, to choć w jego podaniu widać już znaczną poprawę, to jednak znaczną część finezyjnych dowcipów i gry słów po prostu nie dociera do widowni, na przykład słowa: corrid i koryt — brzmią zupełnie jednakowo i — dowcip przepada.

Ryszard Sielicki, kompozytor mający w swym dorobku wiele pozycji muzyki poważnej, znakomicie czuje również muzykę rozrywkową. Jego popularne przeboje zawsze były w dobrym stylu. W dobrym stylu jest tak samo śliczna, melodyjna, żywa muzyka tego musicalu. To nasza ludowa, to włoska, to hiszpańska czy rosyjska, zawsze dowcipna i pełna uroku. Staranne przygotowanie muzyczne jest dziełem Ryszarda Damrosza, pomysłowe dekoracje — Liliany Jankowskiej.

Należałoby w tej jubileuszowej recenzji powiedzieć o ludziach, którzy łódzkiej Operetce, łódzkiemu Teatrowi Muzycznemu poświęcili wiele lat życia i pracy, uświetnili jego przedstawienia, przyczynili się do sukcesów artystycznych. Jest tych nazwisk dużo, a nie chcę wymieniać tylko niektórych, by innym nie sprawić przykrości. Znamy ich wszyscy, lubimy i szanujemy za ich pracę i talent.

Więc na zakończenie tylko życzenia: dalszych sukcesów, dalszych tak udanych jak „Diabeł nie śpi” przedstawień, wciąż takiej samej sympatii publiczności, która jeszcze tłumnie będzie chodzić na Północną zwłaszcza kiedy będzie tam miała czas dojechać i zaw sze sympatycznych recenzentów.

Wiosenny konkurs „Odgłosów”

WSZYSTKO O KSIĄŻCE

ZADANIE KONKURSOWE NR 3

Bibliografia serii wydawniczych opublikowana niedawno, to potężny tom. Nie dziwnego — nie ma chyba wydawnictwa, które w swej działalności edytorskiej nie publikowałoby serii książek. Znaną są np. od lat poetyczna seria „ceiofanowa” PIV, czy tzw. seria „ceramowska”, czy... Ale na tym właśnie polega kolejne — i ostatnie — zadanie konkursowe.

Należy podać nazwy (czy charakterystyki) przynajmniej dwa serie wydawniczych, których symbole publikujemy obok.



Jak wiadomo rok bieżący ogłoszony został Międzynarodowym Rokiem Książki. Z tej okazji — jak i z racji Dni Oświaty, Książki i Prasy — ogłaszamy wspólnie z Zarządem Wojewódzkim ZMS i z Wojewódzką Biblioteką Publiczną konkurs, którego tematem będzie książka.

Odpowiedzi na zamieszczone w „Odgłosach” zadania konkursowe prosimy nadsyłać na kartkach pocztowych — do dnia 10 czerwca — na adres: ŁÓDŹ, „ODGŁOSY”, PIOTRKOWSKA 96 — „WSZYSTKO O KSIĄŻCE”. W losowaniu nagród, które ufundowała Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Łodzi, oraz Zarząd Wojewódzki ZMS w Łodzi wzmą udział odpowiedzi, w których przynajmniej dwa zadania konkursowe rozwiązane zostały prawidłowo.

Na uczestników konkursu czeka 5 EGZEMPLARZY „LEKSYKONU PWN”, 5 KOMPLETÓW PŁYT DO NAUKI JĘZYKA OBCEGO, 25 BONÓW KSIĄŻKOWYCH PO 100 ZŁ KAŻDY.

WIEŻA JEST OŚMIOBOCZNA, TRZYKONDYGNACJOWA, ZAKONCZONA STOŻKOWATYM SKLEPIENIEM. MNIEJ WIĘCEJ W POŁOWIE WYSOKOŚCI (OK. 9 M) ZNAJDUJE SIĘ KOMNATA Z KOMINKIEM. JESLI DZIŚ WYCHYLI SIĘ GŁOWĘ Z MAŁEGO OKNA, KRUKI I WRONY WZLATUJĄ W POWIETRZE. KRAKANIEM WYRAŻAJĄC SWE NIEZADOWOLENIE. RĘKA OPARTA NA CEGLANYM PARAPECIE NIE CZUJE CHROPWATOŚCI CEGŁY, KTÓRA TU JEST WYTARTA, WYSLIZGANA.

Zamek w Rawie Mazowieckiej powstał w XIV wieku za panowania księcia mazowieckiego Ziemowita III. Jest to budowla w kształcie nieregularnego czworoboku, usytuowana w widłach rzek Rawki i Ryki, które utrudniały dostęp od południa i zachodu. Wzdłuż północnego muru obwodowego istniał właściwy budynek mieszkalny tzw. „dom duży”. Mury miały ok. 3 m grubości. Prawdopodobnie w trzech pozostałych narożnikach stały również wieże, a wjazd na zamek strzegła wieża bramna.

Po wcieleniu Rawy do Korony, sejm walny w r. 1496 wyznaczył ją na miejsce sejmików ziemskich. Zbierane corocznie na Zielone Święta dochody z królewskiej, tzw. kwarta, przeznaczone na utrzymanie wojska stałego, w roku 1563 przechowywana była w zamku rawskim, właśnie w podziemiach zachowanej do dziś wieży. Tu, ze „skarbcza kwarcianego” przybyli specjalnie dwaj deputaci z senatu, dwóch postów szlacheckich oraz podskarbi wielki koronny i pisarz skarbowy, wyplacali żołnierzom pieniądze.

Szybki rozwój sztuki wojennej oraz brak należytej konserwacji sprawiły, że już w tym czasie zamek rawski stracił znaczenie warowni trudnej do zdobycia. Pozostał miejscem odosobnienia dla co najmniej dwóch więźniów. Sześć lat przebywał tu Krzysztof książę Meklemburski, wzięty do niewoli w czasie wojny inflanckiej, w 1578 więziono tu i stracono matama kozackiego Iwana Podkowę w roku 1602 więźniami byli Karol Gildenhelm, syn Karola IX i Jakub Pontus de la Gardie wódz szwedzki.

Msząc się za to, przechodzący przez Rawę w r. 1656 oddział wojsk szwedzkich spalił miasto i jeszcze bardziej zniszczył zamek. Częściowo został on odbudowany w 1766 r. Dzieła zupełnego zniszczenia dokonali Prusacy w początkach XIX wieku.

„Ogromne reszty murów i baszt zamku rawskiego słusznie nazwać można kolizmem polskiem. Szacowny ten zabytek, który śmiało równać się może pysznym ruinom dzieł obrzytnych, zbudowany na kępie umyślnie usypany wśród trzaskawisk, stoi teraz poszarpany od psotnej ręki, dowodząc zarazem wielkości swych Twórców i nikczemności ich potomków” — tak pisał w 1810 roku Wawrzyniec Surowiecki.

Do naszych czasów dotrwały już resztki tej wielkiej budowli. Wystające gdzieniedzie z ziemi fragmenty murów z trudem pozwalają zorientować się w ogólnym zarysie całego założenia. Z wież narożnych pozostała jedynie zniszczona i pozbawiona charakterystycznego stożka — ośmioboczna wieża od strony miasta.

Ta właśnie wieża, odbudowana w r. 1959 staraniem Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków w Łodzi, stała się zaczątkiem prowadzącego dziś szeroką działalność Muzeum Ziemi Rawskiej. Początek prac rekonstrukcyjnych i ich zakończenie różnie było komentowane. Wywołały sprzeciw zwolenników „pomysłu”, w myśl którego

JERZY AUGUSTYNIAK

DZIEJE ZAMKU W RAWIE MAZOWIECKIEJ



Rawa Mazowiecka — rekonstrukcja zamku

Rys. B. Kudelski

resztki zamku winno się zrobieć, a z uzyskanej cegły wybudować „Dom Kultury”. Gotowe dzieło spotkało się z surową oceną zwolenników tzw. riegłowskiej koncepcji konserwacji zabytków, która nie dopuszcza możliwości ingerencji konserwatora, oprócz zabezpieczenia stanu istniejącego.

Jak w większości wypadków gdy ścierają się dwa skrajnie przeciwne stanowiska, tak i tu słuszny wydaje się, przez niektórych pogardzany kompromis. Można mieć zastrzeżenia do podtrzymywania „za wszelką cenę” fragmentu oryginalnego muru, można mieć je również do odbudowanego od fundamentu „zabytku”. Każdy obiekt wymaga indywidualnego spojrzenia, uwzględniającego złożoność problemów z nim związanych.

Symptomatyczny dla naszych czasów, burzliwy rozwój turystyki wprowadził pojęcie „zabytku żywego”, zatrzymującego turystę, wciągającego go w swoją historię. Pamiętając o skali porównawczej, warto tu wspomnieć o francuskiej specjalności „Son et lumière”, czyli widowiskach, w których światło i dźwięk wydobywają nowe wartości z brył starego zamku czy pałacu.

I dlatego też głównym chyba problemem konserwatorskim win-

no być dzisiaj nie zabezpieczanie tego co istnieje, czy odbudowanie od podstaw, lecz takie zabezpieczenie i uzupełnianie zabytku, by mógł on czynnie działać na zwiedzającego. Nie potrzeba dodawać, jak odpowiedzialną stała się rola konserwatora, który decyduje o proporcjach i skali przeprowadzanych prac.

Zamek w Rawie może służyć za przykład dla zilustrowania powyższych uwag. Wychodząc naprzeciw życzeniom rawskiego społeczeństwa, opracowano plan zagospodarowania terenu zamku. A jako pierwsi zadomowili się w nim archeolodzy.

Pierwsza faza prac do r. 1968 obejmowała przede wszystkim ucytelnienie zarysu budowli. Odsłonięto więc fundamenty wieży bramnej, wieży w południowo-wschodnim narożniku murów oraz budynku łączącego ją z wieżą. Przy wydatnej pomocy władz powiatowych i miejscowych przedsiębiorstw oczyszczono teren bezpośrednio przylegający do murów od zewnątrz. Wydobyte z gruzu i warstw przemieszanej ziemi, ledwo widoczne dotąd mury, „wyskoczyły” na powierzchnię. Z planem całości w rękę wytypował archeolog punkty, do szczególnego przebadania. W r. 1970 i 1971 były to południowo-wschodni i południowo-zachodni narożniki

murów. Po przebicciu się przez warstwę gruzu (zniszczone mury obwodowe miały pierwotnie 7 m wysokości i ok. 3 m szerokości) rozpoczęła się wędrówka w głąb dziejów. Najpierw natrafiono na bruk kamienny datowany zabytkami na XVII w., potem nastąpił poziom XV-wieczny moszczony drewnem wraz z fragmentem budynku drewnianego, o konstrukcji zrębowej i wreszcie najstarszy XIV-wieczny poziom z resztkami dwóch budynków: domu i stajni. Każdy poziom osadniczy reprezentowany był przez liczne zabytki kultury materialnej, liczone już w dziesiątki tysięcy. Znalezione więc: fragmenty gotyckich i renesansowych kafli piecowych oraz nowożytnych i średnio-wiecznych naczyń ceramicznych, ostrogi, podkowy, grotty strzał do kusz, kłódki, noże, sierp, tygielki odlewnicze. Dzięki sprzyjającym warunkom glebowym wspaniale zachowały się wyroby z tworzyw organicznych: z drewna (talerze, klepki, płytki do sieci), ze skóry (fragmenty obuwia, całe buty), z kości (wieża do gry w szachy), rzeszki ok. 20 fragmentów tkanin. W roku 1971 znaleziono ponad 20 monet miedzianych i srebrnych, które pozwoliły uściślić datowanie poszczególnych warstw kulturowych.

Wewnątrz XV-wiecznego bu-

dynku drewnianego odsłonięto podstawę pieca z cegły łączonej gliną.

Zespół zabytków ruchomych znalezionych na zamku w Rawie już w tej chwili należy do najciekawszych tego typu znalezisk w Polsce. Nieczęsto zdarza się, że na jednym stanowisku można prześledzić zmiany zachodzące w kulturze materialnej od XIV do XVIII wieku. Wystawa uzyskanych zabytków, mieszcząca się w komnacie ośmiobocznej baszty, wygląda imponująco.

Badania będą trwały nadal. Po ich zakończeniu i uzyskaniu dalszych informacji o dziejach zamku w Rawie, przyjdzie czas na opracowanie projektu zabezpieczenia całego obiektu. Już obecnie przystąpiono do zakonserwowania odsłoniętych partii murów. W części piwnicznej „domu dużego” projektowane jest urządzenie zamkowego muzeum, w którym jaśniejąca pełną krasą zabytki uzyskane z wykopalisk. Wieża i zachowane mury zostaną odpowiednio oświetlone.

Rawa Mazowiecka otrzymała piękny obiekt turystyczny, niedługo przecież obchody 600-lecia uzyskania praw miejskich, a kronika konserwatorska — przykład zwycięstwa rozsądnego kompromisu.

Przeszłość i teraźniejszość

Kraków, jak powiadają, ma predykcję do wielkości. Przede wszystkim własnych — rzecz jasna — lecz także innych, byle uznanych. Klasykiem tego przykładem był stosunek intelektualnych prominentów tego starożytnego grodu do Aleksandra Bruecknera. Nie chcę powtarzać tu tego wszystkiego, co przed laty socyście mi relacjonował Stanisław Wędkiewicz, niezapomniany causeur, sam niegdyś profesor Jagiellońskiej Wszechnicy, o motywach, które sprawiły, iż jeden z naszych największych humanistów nie dostąpił zaszczytu wykładania w Krakowie i profesoryzował przez długie lata w Berlinie. Wiadomo, był Brueckner duszą rogata, sadła zalewać sobie za skórę nie dozwalał, a chętnie czynił to innym, ale przecież to nie powód, a przynajmniej nie wystarczający powód, aby go intelektualny Kraków nie dostrzegł. Kiedy w 1926 roku

wielbiciele wielkiego uczonego z Ignacym Chranowskim na czele zaproponowali nadanie mu doktoratu honorowego Uniwersytetu Jagiellońskiego, projekt ten spotkał się ze zdecydowanym sprzeciwem. Jedni, jak wybitny językoznawca Kazimierz Nitsch, opowiedzieli się otwarcie przeciw, drudzy, jak Jan Łoś czy Jan Rozwadowski, wstrzymali się od głosu, więc projektodawca Chranowski cofnął swój wniosek oświadczając, że w tych warunkach Brueckner ofiarowywanej mu z laski godności niechybnie by nie przyjął. Wówczas to, w międzywojennym dwudziestolecu, doszła wielkiego uczonemu nagroda, wyrażająca uznanie dla jego dzieła, ze zgola innej strony. Była to nagroda naukowa miasta Łodzi.

Dziś jednak w Krakowie mówi się o Bruecknerze inaczej. „Żle się stało” powiada wybitny krakowski językoznawca, wspominając

konflikt z 1926 roku. „Kto, jak kto, ale uczony tego pokroju, autor ponad tysiąca prac mniejszych i większych, różne dziedziny polskiej kultury ogarniających,

auli Collegium Novum dnia 31 maja 1969 roku, teraz zaś doszła do naszych rąk w formie interesującej publikacji „W trzydziestolecie śmierci Aleksandra Brueck-

Trzydziestolecie śmierci Aleksandra Bruecknera

godziwie sobie zapracował na wyróżnienie przez najstarszy polski uniwersytet”. Tak, ale dziś Aleksander Brueckner od ponad trzydziestu lat nie żyje. Ale mimo wszystko dobrze, że krakowski środowisko naukowe zorganizowało naukową sesję rocznicową poświęconą dorobkowi wielkiego uczonemu, która odbyła się w

kraker”, wydanej w ramach Prac Historycznoliterackich U. J. (Zeszyt 20, 1971). Dziełko to prezentuje się rzeczywiście godnie i przynosi teksty takich autorów, jak Witold Taszycki, Jan Hulewicz, Mieczysław Karas, Tadeusz Ulewicz, Stanisław Urbaniczak, Franciszek Sławiński, Władysław Berbelicki, Jan

Peter, Józef Widajewicz, Zofia Ciechanowska. „W ten sposób za sprawą krakowców polonistów i w auli Uniwersytetu Jagiellońskiego doczekał się Brueckner pełnej satysfakcji pośmiertnej, na którą jak najbardziej uczciwą pracą całego swego życia zasłużył” — pisze w przedmowie prof. Witold Taszycki. „Naprawiono po latach błąd jaki niegdyś względem niego popełniono. Rzec można: „Sprawiedliwość stała się zadość”. Wiele w tym słuszności, niepokoi jednak i nutka pewnej — wybaczenie — przesady. Boć mimo wszystko Sprawiedliwość lepiej, aby przysłała za życia, niż po śmierci. Przynajmniej tak mi się zdaje. I dlatego wolno chyba sceptykowi zastanowić się, czy owa sprawiedliwość stała się dlatego, że kiedyś wyrządzone uczonemu moralną krzywdę, czy dlatego, że skoro już jest wielkim, skoro został nim poza Krakowem i mimo Krakowa, trzeba go jakoś do Krakowa zaadaptować? W tomiku, zbierającym pokłosie sesji nauko-

wej, znajduje się już artykuł, wcale interesująco opracowany, opatrzonego tytułem: „Powiązania A. Bruecknera z krakowskim środowiskiem naukowym”. Złośliwiec dodałby: niebawem będziemy czytali o Bruecknerze, jako o wielkim uczonym krakowskim.

Wybaczenie to niestosowną nutką. Gorzkie myśli cisną się pod pióro nie tylko pod adresem intelektualnego Krakowa. Boć przecie humanistyczna Łódź, ta sama, która niegdyś wyróżniła Bruecknera swoją nagrodą, trzydziestolecie jego zgonu po prostu przemilczała. Czasem, kiedy spoglądam na łódzkie środowisko humanistyczne, myślę, że zbyt łatwo przejmujemy nie zawsze najsympatyczniejsze cechy Krakowa, natomiast najcięższych nie myślimy bynajmniej naśladować. Ale to już inna sprawa, na pewno nie historyczna, a ponieważ obowiązek historycznego felietonisty uważam na dziś za wypełniony, pozwólcie że na tym zakończę.

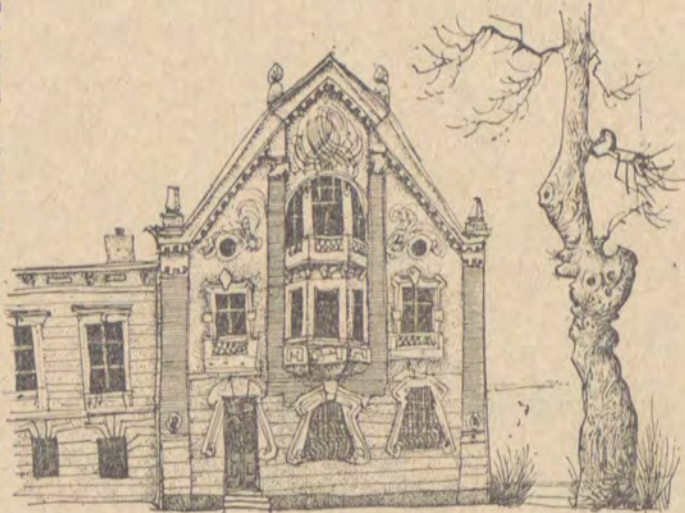
JÓZEF GRZELAK

Kronika plastyczna

W Galerii „Książki Młyn”, która mieści się w Międzyzakładowym Domu Kultury im. L. Waryńskiego, a nad którą patronat objęli Związek Polskich Artystów Plastyków i Biuro Wystaw Artystycznych, otwarta została wystawa prac **Wacława Kondka** — 88 rysunków piórkami. Tematem rysunków jest łódzka architektura pałacowa i jej wnętrza, a raczej te szczupłe ich fragmenty, które jakimś cudem ocalały.

W katalogu do swojej wystawy Wacław Kondka tak pisze: „Wbrew utartym opiniom i paskudnym pozorom Łódź jest jednak istną kopalnią motywów. Możesz w niej buszować, szperać, nuhać, smakować i wybierać jak na starym strychu lub w zapomnianej piwnicy i znajdziesz to, co przypadnie ci do smaku. Oczywiście w Łodzi dawnej, tej z zeszłego wieku, bo jedynie ona jest frajdą dla ołówka czy piórka. Przed ręką schodziłem wzdłuż, wszędzie, w poprzek i we wszystkich możliwych kierunkach miasto, aby zebrać materiał do albumu „Pałace łódzkie”. Rysunków tych ułożyłem się ponad 400. Był to więc album-gigant; albumisko-monstrum; albumisko nie do zdarcia na jeden raz. Nic też więc dziwnego, że Wydawnictwo Łódzkie przyjęło do druku zaledwie część — 160 rysunków. Reszta powędrowała do szuflady, do świętej szuflady, która, jak wiadomo, jest niezawodnym i ostatecznym schronieniem dla rysującego czy piszącego. Alłści zdarzyło się,

że pan Bernard Kepler — kierownik łódzkiego Biura Wystaw Artystycznych, zwrócił się do mnie z propozycją pokazania co nieco z tych rysunków. Przypomniała mi się wtedy owa niezawodność szuflady i pogrzebane w niej



Rys. W. Kondka

kawałki Łodzi. Wyciągnąłem je znowu na światło dzienne, przejrzałem, wybrałem i wydałem mi się, że te 88, które się ostały, mogą stworzyć małą wystawę. Rysunki te, to zaledwie kropla w łódzkim morzu”.

Wystawa rysunków Kondka zainteresuje tych, którym nieobojętna jest historia Łodzi i zadowolony w pełni tych, co zwiedzają ją dla samych jej wartości plastycznych. Pełna życia i wyrazu

Kreska Kondka odkrywa przed nami Łódź, jakiej wielu z nas nie przeczuwało nawet. Uważam, że warto by tą wystawą zainteresować szkoły, rozpowszechnić ją szeroko wśród młodzieży. Może, gdy będą uczeni sztuką o sztuce — gdy dorosną, nie będą niszczyc tego, co godzi się zachować. Może równie przedstawiciele „Ruchu” zajrzeliby do „Książki Młyn” — taka pocztówka z Łodzi z rysunkiem Kondka byłaby warto-

zą Rozmus jest Węgrem z pochodzenia. Urodził się w 1898 roku w Budapeszcie. W latach 1923—1929 studiował u Tadeusza Pruszkowskiego na Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. Wpływy szkoły, z jakiej wyszedł, dają się odczytać po dziś dzień w jego malarstwie, którego zarówno tematyka jak i forma, mimo, że należą do przeszłości, stanowią dowód sprawności rzemieślniczej i bogatej wyobraźni. Geza Rozmus jest batalistą, a więc unikalnym dziś, kiedy batalistykę w malarstwie zastąpiła batalistyka filmowa, rodzajem artysty. Niemniej należy pamiętać, że Geza Rozmus wyszedł ze świetnej szkoły rzemiosła malarzkiego i dlatego jego półna, poza wszystkimi innymi zaletami, stanowią pewien dokument minionego czasu, kiedy to koń odgrywał w życiu, przede wszystkim duchowym, Polaków, ogromną rolę.

Geza Rozmus po ukończeniu studiów w Akademii brał czynny udział w życiu artystycznym, wystawiając w grupie „Zachęta”. Losy wojny rzuciły artystę do Lwowa, gdzie jako członek Związku Artystów Plastyków Radzieckich powołany został na wykładowcę w Wyższej Szkole Artystycznej. Malowane w tym okresie obrazy — batalistyka, sceny rodzajowe, portrety znalazły dziś miejsce w muzeach: Moskwy, Kijowa, Charkowa, Poltawy, Lwowa. W 1937 roku Geza Rozmus wraca do kraju i podejmuje pracę pedagogiczną w łódzkim Liceum Sztuk Plastycznych, biorąc udział w licznych wystawach, m. in. w wystawach tematycznych, poświęconych Wojsku Polskiemu.

A. G.

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

„Filmy mimo, że specjalnie się do nich przyczyniam, specjalnie je projektuję, starając się nie wykorzystywać swoich gotowych powieści, są kontynuacją tego wszystkiego, co robię w życiu, a przede wszystkim tego, co piszę”.

Film „JAK DALEKO STĄD, JAK BLISKO” Tadeusza Konwickiego to utwór wybitny. Jest dziełem umysłowym proces, którego świadkami pono jesteśmy, ale którego tak ewidentnych dowodów nie mieliśmy okazji jeszcze widzieć. Pisarz biorący do ręki kamerę nie jest dziś zjawiskiem rzadkim. Konwicki uczynił jednak z literatury i filmu dwa nie tylko pełnoprawne sposoby wypowiedzi, ale traktuje je jako formy tak dalece nawzajem się warunkujące i kompensujące, że stanowią czynnik sprawczy wyżej wspomnianego procesu. Film „Jak daleko stąd, jak blisko” nie jest dziełem hermetycznym, możliwa jest uchwytliwość jego sensów uniwersalnych. W pełni istnieje jednakże wówczas, gdy jego odbiorca odnajduje klucze dane mu przez całą wcześniejszą, literacką i filmową, twórczość Tadeusza Konwickiego. Nie bójmy się tego określenia — film „Jak daleko stąd, jak blisko” jest dziełem elitarnym, danym tym odbiorcom, którym bliska jest świadomość jedności i ciągłości kultury i sztuki współczesnej, świadomość zacierania granic tak dawniej oczywistych. Ma literatura swą elitę czytelników, kino bardzo długo na swą elitarną pracę, ba, wstydziło się jej trochę, czego dowodem, między innymi, tyle skromny, co niezręczny przymiotnik „studynny” dołączany do niejednego filmu. Ow film elitarny, czy jeśli koniecznie chcemy, studynny, to jak wjemy niekoniecznie film dla owych górnych warstw inteligencji. Wrażliwość estetycznej, intelektualnej czy moralnej szukać dziś trzeba w układach pionowych, rodzi się przecież typ odbiorcy kształtowanego w nowych sytuacjach kulturowych, którego nie zawsze określa stopień wykształcenia. Dla tego odbiorcy Tadeusz Konwicki zrealizował swój ostatni film, dając mu

szansę przeżyć, możliwych wówczas, gdy odrzucił się wiele z tego, do czego realistyczny porządek świata rzeczywistości i świata sztuki nas przyzwyczaili.

Sen, który jest jawą, wspomnienie, które jest teraźniejszością, przeszłość, która jest przyszłością, stanowi ciąg myśli i emocji o zburzonej logice dramaturgii, ciąg, w którym skutek nie do końca tłumaczy się przyczyną. A mimo to wszystko w „Jak daleko stąd, jak blisko” jest przeraźliwie prawdziwe. Dał nam to Konwicki, dając wcześniej swemu bohaterowi nieograniczoną możliwość poruszania się w czasie i przestrzeni, na pozór realizującą się tylko we śnie. Konwicki snem bez ograniczeń życia na jawie uczynił film, wszystko w nim jest właśnie możliwe, możemy z jego bohaterem przeżyć życie raz jeszcze, I nie jest to tylko biografia bohatera filmu i ludzi, którzy z nim śpią, swój los, choć na pewno sensy filmu determinują sprawy określonego pokolenia, w tym pokolenia bohaterów wcześniejszych powieści i filmów Konwickiego. Rozterki ideowo-polityczne, rozdroża moralne, poszukiwanie własnego „ja” skomplikowanego układem i nawarstwianiem najróżniejszych kultur, tradycji i ideologii, znajduje w filmie Konwickiego niezwykłą realizację współzależności słów i obrazów, znaczących nie tylko przez to, co słyszane i widziane, ale i przez to, co wiemy o Polsce, Polakach i człowieku w ogóle, co o nich wiemy również z twórczości tego artysty.

Jest w „Jak daleko stąd, jak blisko” krajobraz spraw narodowych i pokoleniowych, jest również niezwykle krajobraz psychologii człowieka w jej znaczeniach uniwersalnych. Jest

to krajobraz sennego marzenia, a więc pogranicza rzeczywistości, ale on właśnie na owym styku świata rzeczywistego oraz wspomnienia i wyobrażenia, pozwala wejrzeć w samego siebie. Jest to wejście tragiczne, umysławiające prawdy, obok których przebiegamy goniąc teraźniejszość życia, nie myśląc o niemożliwości powrotu do spraw, które w tej gonitwie zgubiliśmy, których nigdy już nie odwrócimy, których nie będziemy w stanie już przeżyć. Krag tych spraw jest olbrzymi — dotyczy naszego miejsca w historii, naszych postaw ideowych, świadomości dziedzictwa tradycji i kultury, naszych postaw moralnych. Świat wspomnień, który w nas zostaje, jest światem, który raz na zawsze zamknął się przed próbą naszej interwencji. W filmie swym Konwicki brutalnie tej prawdy akcentuje szczególnie mocno, dał przecież swemu bohaterowi możliwość

powrotu do kraju dzieciństwa, młodości i lat dojrzałości.

Przeraźliwa mądrość i smutek filmu Konwickiego daleka od łatwego optymizmu, działa przez swój wielostronny atak na nasze myśli i emocje w sposób oczyszczający. Jest to prosty wynik spotkania z autentyczną wielkością sztuki, taką przecież funkcję przypisał jej ludzkie, Piękno artystyczne tego filmu, wymagające osobnych omówień, przekracza granice zwykłości, do której obrazy filmowe nas przyzwyczaili. Absolutna nowatorskość narracji i jej rytmu, operowania czasem, niezwyczajność dramaturgii i atmosfery poszczególnych sekwencji, konstruowanie postaci, poszukiwania operatorskie Mieczysława Jahody i funkcje muzyki Zygmunta Koniecznego — to tylko suche wyliczenia niezwykłych dokonań artystycznych Tadeusza Konwickiego i jego partnerów.

EWA NURCZYŃSKA



O FILMACH DOBRZE I ŹLE



BEZ SŁÓW

To było w programie naszej telewizji czymś nowym. W ramach comiesięcznych prezentacji teatru telewizyjnego na świecie oglądaliśmy ostatnio spektakl czechosłowacki „Romanetto” (scenariusz, oparty na noweli Jakuba Arabesa) i reżyseria — Eva Sadkova: zdjęcia — Ivan Vojnar; emisja — 12. V. 72). Za kanwę literacką posłużyło tu opowiadanie dziennikarza czechosłowackiego, którego działalność przypadła na koniec XIX i początek XX wieku. W tym też okresie umiłowić należy czas fabularny opowieści.

Jak to się stało, że ta fin-de-siècle'owa faktura posłużyła bardzo współczesnej wypowiedzi artystycznej na ekranie telewizyjnym? Złożył się na to charakter narracji filmowej i dodatkowy czynnik, który uczynił z widowiska szczególnie interesujący eksperyment. Sadkova zrezygnowała w nim całkowicie z dialogu.

Fabula „Romanetta” (czyli powiedzielibyśmy po polsku: opowiadanka) nie jest rewelacyjna. Chodzi o dość tradycyjny dramat miłosny. Młode małżeństwo, po euforii pierwszych miesięcy pożycia, przeżywa głęboki kryzys. Kochająca męża żona stwierdza, że ten zdradza ją ze służącą. W dodatku koło żony pojawia się bezprzymownie w niej zakochany młody lekarz, który wyszukuje jej brak równowagi wewnętrznej i doprowadza do chwili zapomnienia. Na świat przychodzi dziecko. Brak pewności co do ojcostwa maści radość macierzyńską młodej matki.

Tym wszystkim sytuacjom konfliktowym nie jest w stanie oprzeć się psychika bohaterki. Stopniowo popada ona w chorobę psychiczną. Milcząca, ale konsekwentną walkę o przywrócenie jej zdrowia podejmuje lekarz-psychiatra. Nadechodzi moment, w którym rekonwalescentka wydaje się zdolna powrócić do życia. Wraca do domu, ale tam okazuje się, że nie zmieniła się cała złożona sytuacja, która legła u podłoża choroby. Romans męża ze służącą trwa, młody lekarz nadal prześladowa bohaterkę swoją miłością, a dziecko ucieka przed swoją dziwną matką, która traktuje je tak nierówno, to pokrywając pocałunkami, to odsuwając od siebie z odrazą.

W efekcie bohaterka sama puka do drzwi szpitala psychiatrycznego, który jest jedynym dla niej azylem i ucieczką przed życiem, którego ciśnienia nie jest w stanie dalej znosić.

Przełożenie tej treści na język gestu, mimiki, czytelnych sytuacji, a za to bez dialogu — było przedsięwzięciem ryzykownym, a nawet karkołomnym. Przez godzinę — tyle mniej więcej trwał spektakl — nie pada ani jedno słowo. Zasadniczy podkład akustyczny stanowi muzyka, czasem tylko słychać śmiech lub łkanie bohaterki.

Reżyser spektaklu nie ułatwia odbioru uporządkowaną narracją. Występują tu przemieszane różne warstwy czasu, sceny retrospektywne przedstawiane są w sposób subiektywny, to jest z punktu widzenia poszczególnych uczestników dramatu. Mimo zastosowania tej złożonej, nienajłatwiejszej w odbiorze narracji, udało się w widowisku przekazać klarownie główne treści. Ogromną zasługą ma tu odtwórczyni głównej roli — znana aktorka filmowa Jana Brejchova.

To ona bierze na siebie podstawowe zadania w widowisku. Jej sugestywny, a jednocześnie utrzymujący w ścisłej dyscyplinie artystycznej, sposób gry przyczynia się wale do sukcesu ekranowego „Romanetta”. Aktorka dokonuje na naszych oczach skomplikowanej i dyskretnej wiewsej chorej psychiki. Dzięki niej spektakl ani przez chwilę nie nużył, lecz przeciwnie, dostarczył widzowi silnych przeżyć.

Nie wiem, czy eksperyment Sadkovej nadaje się do powielania, czy zapożyczenie specyficzny typ widowni telewizyjnego. Nie osobliwie przekonana, że telewizja może skutecznie przemawiać samym obrazem, nie posługując się słowem. Jak dotąd wśród znawców zagadnienia przeważała opinia, że mała (w przeciwieństwie do kina) pojemność informacyjna obrazu telewizyjnego, jego ograniczona czytelność, musi być wsparta słowem.

Sadkova udowodniła, że może być inaczej. I w tym widzę nowatorski charakter „Romanetta”.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

spektakle tygodnia

za okres od 8 do 14. V. 1972 r.

	Ilość spektakli	Liczba widzów	proc.
WIELKI			
„Uprowadzenie z seraju”	1	1260	100
„Wieczór baletów polskich”	1	1260	100
„Aida”	1	1260	100
„Człowiek z La Manczy”	1	1260	100
„Henryk VI na łowach”	1	1260	100
„Orfeusz w piekle”	1	1260	100
NOWY			
„Karabiny”	3	1470	70
„Żołnierz i bohater”	4	2800	100
NOWY MAŁA SALA			
„Kociol”	4	800	100
POWSZECHNY			
„Ojciec królowej”	4	2672	100
„Perla”	2	1336	100
JARACZA			
„Mirandolina”	6	1910	62
„Ania z Zielonego Wzgórza”	4	1899	92
„Tajemniczy ogród”	1	537	100
7.15			
„Trędowata”	3	1253	100
„Piosenkę pań swawolnych”	3	715	87
OPERETKA			
„Diabeł nie śpi”	6	5600	90
FILHARMONIA			
koncerty symfoniczne	2	750	85

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

W 200-LECIE URODZIN NOVALISA

Nazywał się Friedrich Leopold von Hardenberg, ale swoje poezje podpisywał jako Novalis.

Obok swego przyjaciela Schlegla był jednym z najbardziej utalentowanych niemieckich poetów wczesnoromantycznych. Z



Novalis (1772—1801)

nadzieją i radością witał francuską Rewolucję, sądząc, że nadchodzi już czas społecznej wyzolenia człowieka, ogólnej harmonii społecznej i powszechnej miłości. Ale bieg wydarzeń historycznych zawiódł jego nadzieje. Toteż ucieka od rzeczywistości, stwarza sobie w poezji i w życiu świat wymyślony, mistyczny. Wierzy w siłę magiczną słowa poetyckiego. Duży wpływ na jego twórczość wywierała miłość. Zaręcza się z dwunastoletnią Zofią von Kühn, ale dziewczynka choruje i mając lat piętnaście umiera. Jej śmierć pograża tym młocniej Novalisa w mistycyzmie i religijności. Tworzy pełne poetyckiej pasji i tęsknoty „Hymny do nocy”. Gdy potem zakocha się drugi raz, nie zdąży się już ożenić. Umiera, jak na romantycznego poetę przystało, na gruźlicę nie dożywszy nawet trzydziestki.

Pozostawił po sobie prócz „Hymnów” tak pełne prawdziwej poezji dzieła jak m.in. „Pieśni duchowne” czy fragmenty powieści pt. „Heinrich von Ofterdingen”.

WYSTAWA RYSUNKÓW PIERRE BONNARDA

W paryskiej galerii Claude Bernarda odbywa się wystawa stu trzydziestu rysunków ołówkiem i piórkiem Pierre Bonnarda. Nigdzie i nigdy nie były one dotąd wystawiane. Prace te są własnością siostr Bowers, krewnych żony malarza, które otrzymały dzieła Bonnarda po skomplikowanym i trwającym lat kilkanaście procesie sądowym. Cała bowiem sprawa dziedziczenia dzieł Bonnarda przez krewnych jego żony uległa poważnym trudnościom ponieważ malarz... sfałszował testament żony.

Jak się to stało? Kim byli Pierre Bonnard i jego żona? Dlaczego artysta dopuścił się dość naiwnie przeprowadzonego przestępstwa?

Zacznijmy od sylwetki samego malarza. Powiedział kiedyś o nim Matisse, że Pierre Bonnard jest największym artystą naszych czasów. Skromny, cichy, małowówny, prostoduszny i poczciwy — takim pozostał w pamięci tych co go znali osobiście. Pozostawił po sobie kilka tysięcy obrazów rysunków i szkiców. Określany przez historyków sztuki jako postimpresjonista sam nazywał siebie ostatnim impresjonistą. Malował widoki z okna, pejzaże, kwiaty, drzewa, auta, dzieci, ale najchętniej swą nagą żonę i to gdy się kąpała. Akty do których pozowała pani Bonnard wchodząc do wanny, w wannie lub wychodząc z niej, są najlepszymi obrazami artysty. Twierdziła, że nosi arystokratyczne nazwisko — Marta de Méligny. W istocie nazywała się Maria Boussin i kiedy malarz ją poznał była midinetką. Została jego modelką gdy miała lat 27, żoną po trzydziestu latach współżycia. Kochał ją, otaczał luksusem, woził po uzdrowiskach. Była kapryśna i

chorowita. Zmarła 23 stycznia 1942 roku. W piątą lat później tego samego dnia i tego samego miesiąca zmarł w wieku lat osiemdziesięciu Pierre Bonnard.

Umarł cicho, tak jak żył, bez rozgłosu. Na pogrzebie zjawili się gromadka najbliższych przyjaciół, a z osób urzędowych tylko jedna — woźny z ministerstwa.

Po śmierci Bonnarda liczni krewni jego i jego żony rzucili się na oczekiwany spadek. Ale nieruchomości i kapitałów malarz nie miał żadnych. W jego mieszkaniu nie znalaziono żadnych wartościowych przedmiotów prócz obrazów. W pracowni pozostało 700 obrazów i pięć tysięcy rysunków i szkiców. Rozpoczął się proces spadkowy trwający kilkanaście lat. W tym czasie wartość dzieł Bonnarda gwałtownie zwyżkowała. Zdawało się, że krewni żony nie otrzymają nic lub bardzo niewiele, gdyż pani Bonnard zapisała w testamencie wszystkie ofiarowane jej przez męża obrazy jemu samemu. I oto okazało się, że testament jest podrobiony i że dokonał tego sam Bonnard. Malarz nie lubił rodziny żony i nie chciał, aby jego obrazy dostały się w ich ręce. I poczciwiec Bonnard, choć kiedyś studiował prawo, sporządził niezręcznie rzekomy testament żony popielniąc kilka prawnych błędów i na domiar pomylił się w dacie. Rzekomy testament Marii sporządzony został w dniu 11 listopada 1942 roku, choć Maria nie żyła już od stycznia.

Komplikacje procesu, spory między spadkobiercami sprawiły, że dzieła Bonnarda powędrowały do skrytek bankowych. W wyniku zakońzonego procesu m.in. siostry Bowers otrzymały 37 proc. całości spadku po ich krewnym Marii Bonnard.

Wystawione obecnie rysunki są niewielkiego formatu, przedstawiają głównie ulubione tematy malarza jak akty, martwą naturę, otwarte okno mieszkania z widokiem na górzystym krajobrazie.

PICASSO I RYSUNKI DZIECI

Pewnego razu Picasso zwiędając wystawę rysunków, których autorami

Trzeba mi było wielu lat pracy, wreszcie rysowałem tak jak one.”

W jednej ze szkół paryskich zbiera się setka dzieci w wieku od lat pię-

lować i rysować. Zielona Mysz — jak ją nazywają dzieci — jest to w istocie madame Gilbert Laroche-Clerc, nauczycielka, która od lat czterdziestu zajmuje się rozwijaniem uzdolnień plastycznych u dzieci. Stworzyła ona w Saint-Denis „Atelier Zielonej Myszy”, do którego schodzą się dzieci i gdzie Zielona Mysz swymi własnymi metodami kształtuje w nich smak artystyczny.

Na jednym z zajęć Zielona Mysz pokazała dziełom rysunek Picassa „Don Kichot i Sancho Pansa”. Dzieci przyjrzały się uważnie po czym zabrano im rysunek każąc narysować taki sam, tylko już z pamięci i bez posługiwania się gumką. Zamieszczamy obok reprodukcje wersji oryginalnej Picassa i obrazka, jaki narysował sześciolatek chłopiec, wychowanek Zielonej Myszy. Uderza zdumiewające podobieństwo obydwu reprodukcji.



Rysunek Picassa i rysunek (z pamięci) sześciolatniego chłopca

były sześciolatek dzieci do dziesięciu z różnych środowisk by pod kierunkiem Zielonej Myszy ma-

TWIGGY ZNACZY GALAZKA

Miała szesnaście lat i uczyła się w jednej z londyńskich szkół. Nagle uczennica Lesley Hornby stała się „Twiggy”, „Galazką” i w trzy miesiące później była już najsłynniejszą modelką najwięcej zarabiającą na świecie. Była 1,54 m wysoka, waga 41 kg i miała 55 cm obwodu w talii. Zarabiała tyle, że w krótkim czasie ofiarowała, swemu ojcu, cięśli z zawodu, trzydziestopięciopokojowy budynek nad Tamizą. Jej odkrywcą, impresario i narzeczony, Nigel Davis, który przybrał z francuska

brzmące nazwisko Justin de Villeneuve, do dnia dzisiejszego podpisuje dla „Galazki” korzystne kontrakty. Dziś „Twiggy” ma 21 lat, urosła o 15 cm, jest milionerką i dobrze zapowiadającą się gwiazdą filmową. To chude dziewczę o oczach sarny, świetnie tańczy i śpiewa a Fred Astaire pisał do niej: „Zauważ, że jestem zbyt stary by móc z Panią tańczyć”. „Znudzil mnie mój zawód modelki... Zawsze chciałam występować w filmie. Ale proponowano mi zawsze jedynie głupie role... — mówi „Twiggy”. „Pewnego dnia Justin i ja zobaczyliśmy „The boy friend” na scenie londyń-

skiej Comedy Theater”. Przez rok trwały rozmowy Justina, które doprowadziły wreszcie do tego, że reżyser Ken Russell, adaptując ową komedię muzyczną dla filmu, powierzył w nim główną rolę właśnie „Galazce”. Ale musiała się nauczyć tańczyć i śpiewać. Przez osiem godzin dziennie „Twiggy” ćwiczyła taniec i uczyła się śpiewać, aż do utraty tehu.

Na premierze filmu w Londynie „Galazka” zdobyła pełny sukces. Publiczność i krytyka przyjęły jej grę z uznaniem. Mówi się o „Twiggy”, że w Londynie narodziła się nowa gwiazda filmowa.



ZAPIS LAT PIERWSZYCH

WYJĄTKOWE LATA — ŁODZIANIN BRONIEWSKI — ŁÓDZKIE STUDIUM DZIENNIKARSKIE — PIERWSZE BIBLIOTEKI — ŁÓDZKIE DNI WOLNOŚCI — LOGICZNA MOZAIKA FAKTÓW — BIBLIOTEKA „GŁOSU” — TRUD SZPERACZA

Niezwykle ciekawą rozprawę znalazłem w tych dniach w XXVIII serii „Prac Polonistycznych” — publikacji cyklicznej, której kolejny tom ukazał się ostatnio w księgarniach. Jest to praca Stanisława Borowkina pt. „Życie literackie Łodzi w latach 1945—1948”. Wbrew pozorom nie jest to żadna przyuczynkarska ramotka, lecz rzetelny zapis faktów z lat raczej nie penetrowanych przez historyków. Nikt się właściwie nie zajmował szczegółowo tymi dwoma latami, a przecież

te dwa lata nie dadzą się wrzucić do jednego worka 25-lecia, to są zupełnie wyjątkowe lata... Działy przecież wówczas jeszcze i prywatne firmy wydawnicze, RSW „Prasa” nie istniała, tylko „Czytelnik” i Łódzki Instytut Wydawniczy.

W tych latach startowali w Łodzi młodzi pisarze: Kazimierz Brandys, Jan Kott, Seweryna Szmagłewska... Tu powstały „Medaliony” Nałkowskiej, pierwsze powieści Brandysa, tu Władysław Broniewski w plebiscycie „Dziennika

Łódzkiego” zdobył miano jednego z najpopularniejszych ludzi miasta. Obok — jak pamiętam — księdza Ławrynowicza i boksera Pisarskiego.

Mало kto zapewne pamięta, że w latach 1945—1948 istniało w Łodzi Studium Dziennikarsko — Publicystyczne, działające jako jedna z agend warszawskiej Akademii Służby Publicznej. Mало kto wie, że istniało (obok polonistyki UL, lub jako jej swoiste dopełnienie) Studio Literackie przy Związku Literatów Polskich. Wykłady prowadził Stefan Skwarczyński, Zygmunt Stieber, Stefan Liचाński, Jan Trzynadłowski, Artur Sandauer... Biblioteka Główna UL rozpoczęła działalność w niecały miesiąc po wyzwoleniu miasta, a pod koniec 1945 roku liczyła około 90 tys. tomów, pochodzących z księgozbiorów opuszczonych, a zabezpieczonych przez pracowników tej instytucji oraz z darów społeczeństwa. Miejska Biblioteka Publiczna wznowiła działalność w maju 1945, udostępniając czytelnikom ponad 36 tys. tomów. Wypisuję te fakty z pa-

sjonującej pracy Stanisława Borowkina — opowieści o „pierwszych dniach wolności”. Niewielka to publikacja — zaledwie dwadzieścia parę stron, ale też, aby te stroniczki zapisać, musiał się autor przekopać przez ogromne archiwa, przez roczniki pism, publikacje wspomnieniowe i sprawozdawcze.

Dla każdego, kto będzie chciał dowiedzieć się czegoś o tych pierwszych, jakże nietypowych, łódzkich latach wolności, praca Borowkina jest publikacją niezastąpioną. Autor syntetyzuje w niej ową mnogość i wielość literackiego życia miasta, z rozspianych kamyczków informacji układa konsekwentną, logiczną mozaikę. Wiem, że była to praca trudna i nieefektowna na pozór, ale te dwadzieścia parę stroniczek tekstu dają nam jakąś potrzebną i brakującą sumę wiedzy.

Borowkin przypomina edytorskie poczynania łódzkich księgarzy: Wiśniewskiego, Lemańskiego, Jamiołkowskiego, którzy obok znanej firmy „Czytaj” Pawlaka, także w tych pierwszych latach wydawali

książki. Ale książki wydawały także redakcje gazet. Na przykład „Głos Robotniczy” dążąc do zmniejszenia trudności w nauczaniu języka polskiego, wynajmujących z braku szkolnych lektur, podjął inicjatywę wydawniczą. W bibliotece „GR” ukazały się m.in. wybory pism Konopnickiej, Zeromskiego, Prusa — potem „Sejdzio i jej bobry” Grey Owla oraz podręczniki. Książki te, dzisiaj rarytasy bibliofilskie, ukazywały się w formie załącznika do gazety arkuszy, które po złożeniu i zszytych tworzyły książkę. Któż o tym pamięta, skoro nawet w archiwum redakcji nie ma ani jednego egzemplarza!

I tak można by wymieniać te fakty skrupulatnie zebrane przez Stanisława Borowkina. W sumie jego praca, wraz z nieocenionymi przypisami, stanowi ciekawy dokument czasu. Trud szperacza na pewno się opłacił, otrzymaliśmy faktograficzny zapis dwu pierwszych lat powojennych, kiedy rozdzilo się w Łodzi życie kulturalne.

JERZY WIDOK

Bez strachu

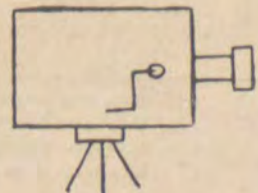
DZIEŃ PRAWDY

„Boscy jesteście wy, ludzie tej ziemi, jakże niesłusznie zwani straszakami!”

(SWAMI WIWEKANANDA)

Tego dnia postanowiłem mówić wszystkim prawdę i dążyć do tego, aby prawdę od nich nawzajem usłyszeć. Zatrzasnąłem drzwi mieszkania i wyszedłem na schody. „Zycząc złego dnia!” zawołałem do pierwszej spotkanej kobiety, której niecierpię. Odkroczyła z przerażeniem, jednak nie powiedziała ani słowa. Czyżby jej prawdą było młczenie? Śniadanie jadłem w kawiarni w towarzystwie kolegi. „Fatalnie pani dziś wygląda, zresztą nie tylko dziś” — powiedziałem kelnerce. Gdy przyszło do placenia, zapłaciłem także za kolegę. Powiedziałem: „Placę za ciebie dlatego, iż liczę, że ty zapłacisz za mnie obiad, który jest droższy, niż śniadanie”. Na ulicy spotkałem znajomego, który zaprosił mnie do swego mieszkania. Jak zwykle mówił dużo i jak sądził, mądrze. „Głędzi pan w sposób zupełnie kretyński. Jest pan ignorantem w każdej dziedzinie, którą pan porusza. Ja jednak siedzę u pana cierpliwie, bo liczę, że dzięki swoim wpływom wyrobi mi pan atrakcyjną posadę. Swoją drogą zdumiewające, że tak fenomenalny ślupiec, jak pan, posiada gdziekolwiek wpływy. Jak pana mogą traktować poważnie?” Człowiek ten pokazał mi drzwi. Spokojnie opuściłem jego dom. Udałem się do sklepu samoobsługowego. „Czy pani jest bardzo czujna?” zapytałem ekspedientkę. „O, bardzo!” „Szkoda” chciałem ukraść paczkę masła. Rozeszmiatała się uprzejmie, nie spuszczała jednak ze mnie oka. Po wyjściu spotkałem urodziwą koleżankę: „Wiesz co? Pał diabli twojego męża, odwiedź mnie dzisiaj”. Koleżanka uderzyła mnie w twarz. Otoczyli nas ludzie, z trudem uszedłem cało i spotkałem mojego przyjaciela, człowieka dołknietego rakiem i nieuleczalną chorobą serca. „Wiesz co, daj mi kilka tysięcy złotych! Ty przecież nie zdążyłś i tak wydać tego, co masz”. Odsunął się ode mnie z wyrazem pogardy. „Dziwak, komediant, sam nie wyda i mnie nie da!” — Wołałem za nim. Spotkałem jeszcze tego, czy owego. Kilka osób uciekło, jeszcze ktoś mnie uderzył. Spotkałem mego przełożonego. „Zapewne śpieszy pan w jakiejś sprawie służbowej?” „Gdzie tam, lekceważę pana i pracę. Objam się przez cały dzień i mówię ludziom prawdę”. „Zwalniam pana dyscyplinarnie!” „Znakomicie, dawno już chciałem odejść, im prędzej — tym lepiej”. Wiele jeszcze miałem tego dnia przyczoł, noc spędziłem w areszcie. „Bardzo tu u was przyjemnie” — powiedziałem do milicjanta. „Naprawdę pan tak sądzi?” „Naprawdę, widzi pan, ja dzisiaj cały dzień mówię prawdę i wcale się nie dźwizę, że jestem w areszcie!”

BERNARD SZTAJNERT



GOMEZ

O dlożyłem mikrofon i zbliżyłem się do szafy ściennnej. Wzięłem marynarkę. Z mieszkania położonego o piętro niżej słychać było muzykę jazzową.

Schodząc na dół spotkałem na schodach żonę. Szła po mnie na górę. Spojrzała pytająco na widok mojego płaszcza.

— Chyba nie wychodzisz teraz z domu, prawda?

— Obawiam się, że tak.

— Kiedy wrócisz?

— Nie wiem. — Pocałowałem ją w policzek.

— Gomez?

— Niestety, znów chodzi o Gomeza.

— O, Jim! Taka brzydka pogoda dzisiaj. A my się tak świetnie bawimy... Czy naprawdę musisz wyjść?

— Wiesz dobrze, że nie mam chęci. Chciałbym zostać na zabawie razem z tobą. Idź tam i baw się ze wszystkimi. Niedługo wrócę.

Pocałowałem ją znów w policzek i wyszedłem.

— Byłem pewny, że Mellington zacznie teraz mówić.

— I ja tak myślałem.

— No i co się stało?

— Przed godziną powiedział mi, że nigdy nie podpisze tego oświadczenia.

— Czy nie możemy uwieźić Gomeza bez jego pomocy?

— Wie pan dobrze, iż nie możemy. Mellington jest naszą jedyną nadzieją. Zeznanie tego człowieka umożliwiłoby nam zniszczenie bandy na czele której stoi Gomez. Bandy zepsutych, diabelskich przestępców. Lecz nie znamy ich nazwisk.

— Czy pan sądzi, że Mellington ich zna?

— Wątpię bardzo. Gomez nie jest typem, który by szedł na zwierzenia z taką pchłą jak mały Bill. Lecz ten nędznik mógłby nam wskazać, gdzie przebywa Gomez... i gdy raz go dostaniemy w nasze ręce prawo będzie po naszej stronie. Zniszczymy wówczas organizację Gomeza i po zakończeniu akcji miasto zostanie oczyszczone z mętów.

City Hall była otoczona przez policję. Pozdrowili mnie i wprowadzili pod eskortą do środka. Wsiadłem do windy i pojechałem na czwarte piętro.

Przed biurami Prokuratora Okręgowego stało na warcie dwóch policjantów. Jeden z nich otworzył mi drzwi i wyszedłem do wnętrza. W przedpokoju siedział urzędnik. Przywitał się ze mną i zaprowadził mnie do prywatnego gabinetu Milesa Larsona.

Larson właśnie telefonował. Gdy mnie zobaczył, kiwnął głową i poprosił, żebym usiadł. Zająłem miejsce w fotelu.

Skończył szybko rozmowę, odłożył słuchawkę i podał mi papierosa.

— Dziękuję, nie palę — rzekłem odsuwając papierosnicę. — Kto tam jest na górze?

— Bill Mellington. Przed godziną badaliśmy go. Znów zemdlał.

Prokurator Generalny włożył papierosa do ust i zapalił. Był to mężczyzna około czterdziestu siedmiu lat. Włosy miał szpakowate, cerę ciemną. Mówiono o nim, że to jeden z najuczciwszych ludzi, nieprzekupny.

— Nie mogę sobie dać z nim rady. Więcej takich spraw a zrobi mi się wrzód w żołądku.

— Skąd taki upór u tego człowieka?

— Trudne do pojęcia. Myślałem, że groźba krzesła elektrycznego zmusi go do mówienia, lecz widzę, że strach przed Gomezem jest silniejszy.

Wszedł detektyw. Larson spojrział na niego i rozkazał:

— Proszę przyprowadzić tu Billa Mellingtona.

— Rozkaz, panie prokuratorze. Detektyw wyszedł.

— Chyba nie zechce pan go znów badać — rzekłem.

Larson przesunął ręką po szpakowatych włosach. — To jest rzecz, którą musimy zrobić... Puścić go teraz? I pozwolić, żeby nasze miasto dalej pozostawało w rękach Gomeza? Czy chciałby pan tego?

— Pan wie lepiej ode mnie. Lecz w ten sposób nie uda się nam osiągnąć celu. Na pewno nie poprzez rozbijanie muru głową. Przekłętego muru z kamienia. Mellington jest naszą jedyną nadzieją.

Wtem drzwi się otworzyły i weszli dwaj detektywi. Przed sobą prowadzili sianiącego się młodego człowieka. Bill Mellington nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia dwa czy dwadzieścia cztery lata.

— Zostawcie go tutaj, a wy poczekajcie na korytarzu.

Obaj detektywi wyszli z biura.

Larson podniósł się znad stołu, przeszedł się po pokoju i przystanął przed chłopcem.

— Przecież zdecydowałeś się mówić. Dlaczego zmieniłeś zamiar?

— Gomez mi kazał zmienić zamiar.

— Gomez nie mógł przyjść do ciebie! — krzyknął Larson. — To niemożliwe!

— Nie, o tym ja pomyślałem — odpowiedział Bill.

— Mówisz głupstwa! — denerwował się prokurator.

— Zastanawiałem się nad tym, co Gomez mógłby mi zrobić.

— Od tamtej chwili już mógłby nie żyć. A umarli nie czynią złego nikomu.

— O nie! Na pewno udałoby mu się schwycić mnie przed swą śmiercią. Ma wszędzie tyłu przyjaciół. Kazałby mi zmiąć żdźdźce czaszkę.

— Nie bój się, ocalimy cię przed nim.

— Nie znacie Gomeza.

— Namysł się i wskaż nam kryjówkę Gomeza.

— Już się namyśliłem.

— Skończmy już z tym, Mellington! — rzekł sucho prokurator. — Zostaniesz skazany na krzesło elektryczne jeżeli nam nie pomożesz w schwytaniu Gomeza. Zapewniam cię!

— A ja pana zapewniam, że wolę iść na krzesło elektryczne niż mieć Gomeza przeciw sobie.

Larson spojrzował Billa.

— Przeklęty łobuzie, zobaczysz, że będziesz jeszcze mówił wszystko co nam będzie potrzebne! — złościł się prokurator.

— Nie dowiedle się ode mnie ani słowa — mruknął Bill.

— Powiesz wszystko, co wiesz, rozumiesz?

— Nie powiem.

Larson uderzył znów Billa z całej siły.

— Najpierw musicie mnie zabić — odpowiedział młodzieniec.

Larson uderzył Billa pięścią w żołądek. Młodzieniec zgął się przyciskając ręce do piersi. Twarz mu posiniała z bólu. Jęczał.

— Mellington — rzekłem spokojnie.

Spojrzał na mnie nic nie mówiąc.

— Co byś chciał? — zapytałem.

Nie odzywał się.

— Powiedz, co byś chciał za zeznania?

— Nic nie chcę i nie będę zeznawał.

— Może bilet do Arizony? Albo do Meksyku?

— Nie chcę.

— Nie ma sensu z nim pertraktować, to do niczego nie doprowadzi — przerwał mi prokurator.

— Wiem o tym — odpowiedziałem. — Ale zawsze lepiej spróbować.

— Proszę się nim nie przejmować. Znajdę już sposób, żeby go zmusić do mówienia.

— Jaki?

— Zaczęć go męczyć i nie przestając dopóki jego nerwy nie odmówią mu posłuszeństwa. Zobaczą pan, że zacznie mówić.

Teraz zaczął bić systematycznie.

Wiedziałem, że żaden człowiek nie wytrzyma długo tego rodzaju tortury.

Nagle stało się coś niespodziewanego. Mellington skoczył i uderzył prokuratora pięścią skierowaną wprost na szczękę. Larson upadł na podłogę nie wydawszy nawet jęku.

Mellington stał przede mną kilka sekund a potem skierował się do okna.



Wiedziałem jak otworzył okno i wdrapał się na parapet.

— Nie ma dla ciebie wyjścia — rzekłem.

Zbliżyłem się do otwartego okna.

Bill znajdował się na gzymsie domu z plecami opartymi o ścianę budynku. Był błydy jak trup.

Wychyliłem się aby go zobaczyć lepiej.

— Nie rób tego. Wróć — szepnąłem.

Spojrzał na mnie, w oczach miał przerażenie.

— Wróć się!

Patrzył na mnie nic nie mówiąc.

— Zobaczysz, że prokurator cię wypuści. Wszystko zrobie,

żeby cię ratować. Przysięgam ci. Podaliśmy mu rękę. Namyślał się.

— No, przedź! Trzymaj się! Wraca! — Wyciągnął ramię, chwyciłem jego rękę.

— Uważaj, posuwaj się powoli — rozkazałem.

Nagle Mellington pośliznął się i zawisł w powietrzu. Uderzenie było tak niespodziewane, że o mało nie straciłem równowagi i nie wypadłem z okna.

Z całych sił schwyciłem rękę młodzieńca i trzymałem ją mocno w moich rękach. Wiedziałem jak wisiał w próżni.

Mellington usiłował powoli wdrapać się na gzyms kamienicy aby wejść na okno.

W tym momencie przypomniałem sobie słowa Larsona: „Ten chłopak może nam wskazać miejsce zamieszkania Gomeza. A gdy dostaniemy w swe ręce Gomeza wyłapiemy wszystkich z tej szajki!”

Wiedziałem, że Bill Mellington już zaczął dążyć do znalezienia miejsca, aby go zmusić do mówienia. Wiedziałem, że niedługo już udałoby mu się, gdyby chłopak nie rzucił się na niego...

Spojrzałem na Billa, który usiłował wejść na okno, uśmiechnąłem się do niego. I nagle wypuściłem jego rękę.

Oprac. A. S.

W tym momencie przypomniałem sobie słowa Larsona: „Ten chłopak może nam wskazać miejsce zamieszkania Gomeza. A gdy dostaniemy w swe ręce Gomeza wyłapiemy wszystkich z tej szajki!”

Wiedziałem, że Bill Mellington już zaczął dążyć do znalezienia miejsca, aby go zmusić do mówienia. Wiedziałem, że niedługo już udałoby mu się, gdyby chłopak nie rzucił się na niego...

Spojrzałem na Billa, który usiłował wejść na okno, uśmiechnąłem się do niego. I nagle wypuściłem jego rękę.

Oprac. A. S.



Lewym okiem

GDZIE TO SPRZEDAJĄ?

Znów jest maj i bzy kwitną. „O szóstej rano wstałaś, dziewczyno z prężnym sercem, i lamiesz, z miłości dla mnie, promieniejące bzy” — pisał Tuwim. I pisał dalej ślicznie w tym samym wierszu: „Dziewczyno z listem wycalowanym, z listem okrutnie krótkim, cóż na niemilostę poradzę?”

Cóż na niemilostę poradzić? Inny poeta, Francuz, wdychał równie ślicznie jak nasz: „Gdybyś ty mnie kochała, i gdybym ja ciebie kochał — to jakież by to było kochanie!”

A my żyjemy w czasach, gdy się nie wdycha tylko się zażywa tabletkę. Wszystkie mamy w tabletkach,

żeby się nie bać, żeby usnąć, żeby nie zasnąć. Żeby lepiej pamiętać i żeby przedź zapomnieć. Żeby ciśnienie było i żeby nie było. Żeby się zakochać i odkochać. Chcesz pozyskać czyjąś sympatię, wzbudzić jego zainteresowanie, namiętność, szal — podsunij mu tabletkę, najlepiej w kawie. Kawa w lokalach nie ma żadnego smaku i żaden smak delikwenta nie zaskoczy. Gdy sam nie jesteś zbyt pewny swego afektu, albo też możliwości udowodnienia tegoż — połknij kolorowy, twardy krążek i śmiało idź naprzeciw losowi. Gdy tęsknota narzyty cię trapi i myśli odciąga od spraw wielkiej wagi — wiadomo: tabletki. Byleby nie pomylić i przed ważną audycją u prezesa nie zażyć trzech sztuk, przeznaczonych na liryczną wizytę u jednej pani...

Znam faceta, który zauważywszy jakieś tam niedociągnięcia w działalności swego żołądeczka zażył przedko parę tabletek, skutki się okazały szybkie — więc przedko kilka tabletek przeciwnych, wtedy znów wszystko nie tak jak trzeba więc znów dwie przeciwnie — i tak po paru tygodniach miotania się od rozstroju do zastoju doregulował się wreszcie do stanu wyjściowego. Teraz tylko tabletki na uspokojenie, bo się zdenerwował.

Czasami wydaje mi się, że ślepa wiara w tabletki nie różni nas niczym od wiary naszych przodków w niezwykłą moc słów, gestów i uroków. Tylko tamto było o ileż poetyczniejsze, przy zbliżonej skuteczności! Cztery lata temu również szukano sposobów na „nie-

miłość”, tylko nie w aptekach i nie w pornosklepach, zachwalających setki radykalnych aphrodisiaców, o których lekarze mają z dawną wyrobioną opinią. Szukano ich w czarnoksiężskich księgach, u czarownic i Cyganek. Jakże uroczą jest opowieść, świadcząca o stuprocentowej skuteczności jednego z ówczesnych sposobów budzenia wzajemności, którą Pierre de l'Estoile zamieścił w swym „Journalu”, a którą z przyjemnością powtórzę wam za „Historią Kultury Francuskiej” Dubyego i Mandrou:

„20 grudnia 1593 zdarzyło się, że pewien neapolitańczyk, rozpaczliwie miłujący szewcową, posłał do niej z prośbą o trzy krople jej mleka, bo karmila, na ból w oku, jaki jakoby miał; posłał jej dziesięć dukatów, które wzięła chętnie, z przyzwoleniem męża, który, mając kożę, udoił jej mleka i posłał z niego trzy krople neapolitańczykowi jako mleko swojej żony. On, ucieszony wielce, sądząc, że dopełnia swojej tajemnicy (która miała uczynić szewcową tak rozmówianą w nim, iż latalaby za nim i znalazła go wszędzie, gdzie by był) sprawił czarami, jakie odprawił nad przyslanymi mu trzema kroplami mleka, że koza pokochała go, zaczęła skakać i szarpać się aż wreszcie uciekla z mieszkania swojego pana i, odnalazszy owego Hiszpana w kordegardzie neapolitańczyków, skoczyła mu od razu na szyję, całowała go i pieściła”.

Gdzie dziś można dostać takie tabletki? Sam bym kupił, bzy kwitną, wiersze szeleszczą —

CWIEK

Redaguje zespół: Karol Badziak (dział terenowy), Konrad Frejdlch (dział publicystyki), Roman Łoboda (kier. działu literackiego), Andrzej Makowiecki (dział reportażu), Celina Pałuch (redaktor techniczny), Włodzimierz Stokowski (zastępca redaktora naczelnego), Jerzy Wilmański (dział kulturalny), Teresa Wojciechowska (sekretarz redakcji). Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa” w Łodzi. Adres redakcji, ul. Piotrkowska 96, telefony: 244-79, 217-99 oraz 293-00 wew. 29, 39, 40, 41 i 42. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6,50 zł. kwart. 19,50 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPIK „Ruch” — z zaznaczeniem na „Odgłosy”. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa”, Łódź, ul. Zwirki 17. Zam. 1206. D-4.